

Marcin z Frysztaka

...

**Historia**

**bez domu**



## #13/14 Słowo wstępne.

Czy bez domu można czuć się bezpiecznie. Czy bez domu można poczuć czym jest szczęście. Czy dom jest konieczny by żyć. A może wystarczy mieć go w sercu. A może wystarczy kochać. Myślisz, skończę studia, zacznę żyć. Mówisz, zdobędę dobrą pracę, będę szczęśliwy. Jesteś przekonany, że mieszkanie na kredyt, to spełnienie największej z potrzeb. Ale czy oby na pewno. Czy życie musi być wyczekane. Wymodlone. Wymarzone. A może życie jest tu i teraz. A może lepszego nie dostaniemy. Innego nie będzie. Niż ta chwila. Niż ten oddech. Może czas na zegarku z białą tarczą i czerwonym sekundnikiem nigdy nie przestanie płynąć. Nie zatrzymamy chwil. Nie złapiemy szczęścia. Możemy jednak płynąć. Razem z czasem. Możemy pozwolić by nas prowadził jego nurt. Możemy żyć.

Bez pragnień, trosk i celów. Bez wielkich domów i drogich samochodów. Skromnie, bo człowiekowi niewiele jest potrzebne do szczęścia. Tak niewiele. A wciąż chcemy. Tak wiele. Wciąż zapominamy gdzie jest sens. Gdzie jest dom. Ten prawdziwy. Ten duchowy. Chcielibyśmy. A nie możemy. Możemy, ale nie chcemy. Żyć, kochać i śmiać się. Nie udawać. Dawać i brać. Handel wymienny. Miłość za miłość.

Ile jeszcze. Jak dużo czasu. Czy zmieniłbyś się gdybyś wiedział ile czasu Ci zostało. Czy postawiłbyś swój poukładany świat na głowie. Czy rzuciłbyś wszystko i udał się w pielgrzymkę. Do własnego serca. Do serca samego Boga. Czy uwierzysz dopiero na łożu śmierci. A może wcześniej. Lub nie zdążysz. Lub śmierć będzie przebiegła i szybka. Nie da czasu pomyśleć. Nie da czasu na rozliczenie się z samym sobą. I Bogiem. Na zrozumienie co w życiu ważne, a co mniej. Lub wcale. Zostawianie wszystkiego na koniec to jak ruletka. Niewielu wygrywa. Ale są emocje. Ale będzie się działo. A na końcu będzie się, ale zębami zgrzytało. Płacz nie zawsze jest dobry. Czasami tak. Czasami nie. Czasami świadczy o szczęściu. Innym razem mówi, że przegraliśmy. Bitwę, wojnę, lub życie. A życie masz tylko jedno. Nie będzie drugiego. Nie będzie lepszego. Nie koronują Cię w następnym. Nie zostaniesz panem na włościach. Masz to co masz. Jesteś kim jesteś. Tym kim wybrałeś. Lub tym kim musiałeś. Wolna wola pomieszana z przeznaczeniem. Wypadkowa chce, musze, powinienem, wypada i nigdy więcej. I ten dom. Cholerny dom. Bez którego nie wyobrażasz sobie życia. Bo musisz mieć gdzie wrócić. Bo musisz mieć napalone w piecu. Bez sąsiada to nie to. Bez podatków nie ma życia. Społeczeństwo tworzy. Wygranych i przegranych. Albo tych którzy grają i tych którzy nie chcą grać. W tę społeczną grę. W życie. Która z prawdziwym życiem niewiele ma wspólnego. Życie drogich ciuchów, wakacji żeby mieć o czym opowiadać, wrzucania na tacę dużych kwot, żeby ludzie widzieli. Stawiania pomników, podobnym nam z napisem kto ufundował. Na czyją pamięć i cześć powstało to i tamto.

Pytasz czy chodzi Ci o to, żebym się zmienił. Nie, odpowiadam. Mówisz, że jest Ci dobrze tak jak jest. To dobrze, odpowiadam. To po co piszesz to co piszesz, pytasz. Żebyś się zastanowił. Żebyś się zatrzymał. Chociaż na chwilę. Chociaż przez chwilę. Uruchomił współczucie. Dla drugiego i dla siebie samego. Żebyś przeglądnął się w lustrze. Żebyś zobaczył samego siebie. Nie moja sprawa co w lustrze zobaczysz. Czy widok Ci się spodoba, czy Cię wystraszy. Nie mam na to wpływu. Ja tylko skleciłem lustro. I wsadziłem Ci je przed nos. Patrz a zobaczysz. Żyj a uwierzysz. Uwierz a zawierzysz. Zawierz a zrozumiesz. Zrozumiesz, że umiesz. Żyć. Kochać. Płakać. Współczuć. Albo już nie. Albo już zniknie. Powód do współczucia. Samemu sobie. Bo po co. Bo na co. Jak można. Z domem w sercu. W domu Ojca.

Marat S. Wilke

## **DOMOWE OGNISKO**

Dom jest ciepły, lub zimny  
Kolorowy, lub bezbarwny

Dom jest dla nas  
Lub my jesteśmy dla domu

Nowe firanki  
Nowe zasłony

By nie widzieć co jest za oknem  
By dom stał się więzieniem

## Historia bez domu

2 GRUDNIA

Na imię mam Bezdomny. Tak do mnie ludzie mówią. Tak mnie traktują. Faktycznie nie mam gdzie mieszkać. Ulica jest moim domem. Żywi mnie miasto. Żyję z dnia na dzień. Nie planuję. Bo co tu planować. Nie mam marzeń. Bo o czym tu marzyć. Cieszę się. Bo żyję. Cieszę się, gdy ktoś da piątaka na bułkę i kawałek kiełbasy. Ciesze się gdy ktoś podejdzie porozmawiać. Ludzie myślą, że życie bezdomnego to piekło. Że nie dali by rady. Że woleliby umrzeć niż tak żyć. Ja myślę, że przesadzają. Życie jak życie. Tylko śpisz byle gdzie. To tu, to tam. W lecie jest nawet przyjemnie. Teraz gorzej bo zima. Śnieg leży. Zimno. Ale co zrobić. Trzeba się pogodzić. Pogoda nie jest zła na mnie, to dlaczego ja miałbym być zły na pogodę.

Pisze bo mam czas. Pisze bo potrafię. Pisze bo mam czym i na czym. Dziś rano znalazłem w śmietniku zeszyt. Czysty. Prawie. Dwie kartki zapisane tylko. I ktoś wyrzucił. Głowa odpada co ludzie wyrzucają. Śpie na materacu, który znalazłem. Jak w hotelu. Ktoś wyrzucił. Pewnie kupił bardziej modny. Albo sam nie wiem co. Znaleźć można wszystko. Ludzie nie szanują tego co mają. Chcą więcej. Chcą nowsze. Ładniejsze, lub Bóg wie co. Tak sobie myślę, że ludzie sami nie wiedzą czego chcą. Gdyby wiedzieli, to nie szukaliby ciągle nowego. Tego czy tamtego. Skoro miałem już zeszyt to jeszcze pasowałoby coś do pisania, pomyślałem. To kupiłem długopis. Zostały mi drobne z wczorajszego zebrania. Na długopis wystarczyło. Sam nie wiem po co piszę. Gdy nie pracujesz to masz dużo czasu. Ja nie pracuję od lat. Nie z lenistwa. Mam niedowład prawej ręki. Do tego depresja. Stany lękowe. Piję. Za dużo. Jak pijesz to nie masz kiedy pracować. Bo pijesz. I w ogóle życie mi się posypało.

Nie ma co się użalać. Jest jak jest. Bezdomność to nie koniec świata. Dziś na ten przykład użebrałem 35 zł. Jak na cztery godziny siedzenia z kubkiem to nie tak źle. Wychodzi prawie dycha na godzinę. Ludzie tyle w pracy dostają. Czy niewiele więcej. I za takie 35 zł mam obiad w barze mlecznym. Dychę dałem za flaczki. Do tego buteleczka wódki 200 ml za 15 zł. Dwie bułki z pasztetem za 5 zł i dwa piwa. Kolejna piątka. Takim sposobem nie żyje się źle. Mam ochotę na to. Kupuję to. Mam ochotę na tamto. Kupuję tamto. Zawsze ludzie coś do kubka wrzucają. Właśnie otwieram drugie piwo. Jak jest zimno to trzeba się napić. Inaczej by człowiek nie zasnął. Tak mówią. Sam nie wiem czy to prawda. Piję bo jestem uzależniony i tyle. Co tu dużo mówić. Alkohol pomaga też nie zwracać uwagę na ludzi. Jak patrzą na ciebie z politowaniem. Jak odchodzą w autobusie byle dalej. Bo śmierdzą. No nie zawsze jest się gdzie umyć. Jak się grzebie po śmietnikach, to się przechodzi zapachem. Teraz w zimie i tak jest lepiej, bo człowiek się tak nie poci. W lecie bardziej się śmierdzi. A co do śmietników to dziś poza zeszytem znalazłem plecak. Czarny. Wygląda jak nowy. W ogóle nie zniszczony. Będę wyglądał teraz jak ósmoklasista. Jakbym do szkoły drałował. Ale nie ma co. Plecak się przyda. Będzie w czym piwo nosić. Tak to w reklamówkach, czy siatkach jakichś się nosiło. A od dziś jak Panisko. Z plecakiem.

Mam też kumpla po fachu. Wołają na niego Zet. Nie wiem dlaczego. W radiu nie pracował. Z tego co wiem. Czasami chodzimy razem po śmietnikach. Rzadko. Najczęściej widzimy się wieczorem. Śpimy w jednym miejscu. Bezdomni mają swoje miejscówki. Do spania. Dobrze, żeby dach był nad głową. I niedaleko kible. Kible to podstawa. Natury nie

oszukasz. Rano, jak się wstanie pasuje iść na kibiel. Trudno by było szukać go przez godzinę. Dlatego blisko kibla jest bezpiecznie. I wygodnie. Jest nas trochę. W mieście to spokojnie z pięćdziesiąt osób bez domu będzie. A do tego dochodzą jeszcze ci co dom mają. Ale nie pracują bo piją. I żyją z żebrania jak ja. To drugie tyle trzeba doliczyć. Dobra. Kończę piwo i trzeba się przykryć kocem bo zimno w palce. Drętwieją. Koniec pisania na dziś.

### 3 GRUDNIA

Życie nie do każdego się uśmiecha. Jeden zbija fortunę na giełdzie, drugi cieszy się jak dostanie piątaka na bułkę. Sprawiedliwość jego mać. Ale nie ma co narzekać i zazdrościć. Nie zazdrościsz. Jak ktoś ma to niech się cieszy. Ja kiedyś miałem i się nie cieszyłem. Nie urodziłem się bezdomny. Miałem żonę, dzieci, firmę. Żona pracowała w mojej firmie. Transportowej. Dzieci dobrze się uczyły. Jedno nawet wyjechało na studia za granicę. Firma splajtowała. Żona odeszła. Dzieci odwróciły ode mnie głowy od kiedy usłyszały, że jestem kłozardem. Na dno nie upada się w jeden dzień. To proces który trwa. Rozwija się. Ciągnie w dół. Trzyma. Nie puszcza. Jak nie wydestaniesz się w porę to wciągnie Cię na amen. Mnie wciągnął. Alkohol pomógł. Gdy jeździec spada z konia, w rękę trzyma zazwyczaj butelkę. Swoją miłość. Zazwyczaj jedyną. Gdy kochasz alkohol zapominasz kochać bliskich. Tak to działa. Większość bezdomnych pije. Większość bezdomnych miało kiedyś „normalne” życie. Choć z tym co normalne a co nie miałem zawsze problem. Nie lubię określenia normalny. Normalni ludzie, mówią Ci co masz robić, mówią co jest normalne. Mówią, że jesteś nienormalny, bo nie mieścisz się w stworzonych przez ich głowę normach. Idiotyzm. Normalni ludzie tworzący toksyczny świat. Ich pozał się Boże norma.

Czasem się łapię na tym, że tęsknie. Nie do mieszkania w czterech ścianach. Nie do samochodów i wakacji nad morzem. Ale do uśmiechu żony podającej jajecznicę na śniadanie. Czy rozemocjonowanych dzieciaków którzy znowu coś nabroili. To jednego rzuciła dziewczyna. To drugi złamał rękę na ognisku. Było. Przeżyłem jedno życie. Teraz mam drugie. Inne. Żyje życiem wyrzutka. Przyzwyczałem się. Do wszystkiego się idzie przyzwyczać. Najtrudniej zaakceptować to, że ludzie Tobą gardzą jak mieszkasz na ulicy. Nie wszyscy. Ale większość. Mają Cię za nic. Nie wpisujesz się w ich „normy”. Ale z czasem rozstajesz się z godnością. Odchodzi i nie machacie sobie na do widzenia.

Dziś nie poszło mi tak dobrze zbieranie do kubka jak wczoraj. Niecałe dwie dychy po pięciu godzinach. Starczyło na pulpety w sosie za dychę i trzy piwa. Dobrze, że Zet mnie poratował. Wypiliśmy na pół tanie wino w kartonie. I zaraz zjemy na kolację po bułce z szynką i pomidorem. Zet dostał bułki od jakiejś starszej kobiety, która zamiast dokarmiać gołębie postanowiła pomóc człowiekowi. Tacy też się znajdują. Dobrze. Bardzo dobrze. Bo byłbym głodny. Na śmietnikach nie spędziłem dziś dużo czasu. Może z dwie godziny. Nie więcej. Znalazłem dwie butelki z piwa. Zielone. Oddałem do sklepu. 50 groszy za jedną. Za złotówkę dziś nic już nie kupi. Szkoda gadać.

Dobrze chociaż, że pogoda dziś była. Bez mrozu. Czekam na koksowniki. Zazwyczaj tak w połowie grudnia na mieście je ustawiają. To świetny wynalazek. Idzie się ogrzać jak mróz trzyma. Jednak ogień ma coś w sobie. Poprawia człowiekowi nastrój. Daje światło i ciepło. Niewiele więcej trzeba. No może jeszcze pół litra, żeby z ogniskiem pogadać. W grudniu szybko robi się ciemno. Zima. To nie działa dobrze na człowieka. Chociaż w mieście są latarnie. Ale sztuczne światło to nie to samo. Nie zastąpi słońca. Ani ogniska.

## 4 GRUDNIA

Rano obudził mnie mróz. Nie wiem która była godzina. Ale przymroziło. Było czuć na twarzy. Nie wstałem. Leżałem jest trochę czasu. Podsypiałem. Później głodny poszedłem na kubek. Na swój rewir. Bezdomni mają swoje miejsca gdzie zbierają pieniądze. Każdy ma swoje. Żeby nie wchodzić sobie z drogę. Nie wszędzie też można żebrać. W wielu miejscach zbieranie jest zakazane. Na przykład na rynku. Nie wolno. Policja przegania i daje mandaty. Jak miejsce bardziej reprezentacyjne, dla turystów, to źle by było bezdomnych pokazywać. To się ich przegania. Jak uzbierałem parę złotych zrobiłem sobie przerwę. Żeby zainwestować w siebie. Kupiłem tanie wino. Wydołem i wróciłem na kubek na swoje miejsce. Jak się człowiek rano nie napije to ciężko się żyje. Źle oddycha. Później było jak było. Dwie dychy się uzbierało. Jak zbierałem podszedł do mnie jakiś jegomość około pięćdziesiątki i wypalił, żebym wziął się za robotę. Poszedł pracować a nie żebrać. Co by było gdyby każdy żebrał, zapytał. Myślę, że gdyby każdy żebrał to ja odwrotnie. Byłbym tym który daje. Zawsze byłem na przekór. Nie tak jak wszyscy. Chociaż z wiekiem się łagodnieje. Już nie ma tylu powodów do buntu co kiedyś. Nie widzi się ich. A nawet jak się widzi to stają się nieistotne. Czasami zdarza się taka osoba jak ten facet. Która zbluzga, zwyzywa. Nie czuje litości. Nie współczuje. Tylko złość w oczach mu się pali. Są tacy ludzie. Ludzie są różni.

Podjechałem dziś cztery przystanki autobusem. Bez biletu. Żeby posiedzieć w parku. Lubię park. Nawet zimną. Liście spadły z drzew. Myśli samobójcze. Melancholia dnia codziennego. Znam ją dobrze. Ona zna mnie. Czasami rozmawiamy o sensie istnienia. Zgadza się, że niewiele jest sensu w tym sensie. Że bez sensu jest walczyć o sens. Trzeba żyć. Skupić się na tym co jest. A nie uważać się za pana wszechświata wokół którego wszystko się kręci. Wokół mnie nic się nie kręci. Tak lepiej. Pozostać niezauważonym. Niewidzialny człowiek w świecie szklanych domów. Za niewidzialnym też nikt nie zapłaci kiedy zniknie. Bo nikt nie zauważy że znikł. Był przecież niewidzialny.

Wróciłem do centrum. Moja okolica. Zjadłem naleśniki z serem za ósemkę. Dobrze, że są jeszcze miejsca, gdzie można tanio zjeść. Za to co zostało kupiłem tanie wino. Wypiłem na ławce. Nawet strażnik miejski przechodził. Nie zwrócił uwagi. Z bezdomnym nie wygrasz. Mandatem się poderze. Szkoda marnować papier na wypisywanie za picie w miejscach publicznych. Zresztą gdzie ma pić bezdomny, skoro nie ma miejsca prywatnego. Kiedyś też paliłem. Dużo. Ale papierosy drogie. Nie stać mnie już. Trzeba było wybrać. Picie, albo palenie. Wybrałem picie. Czasami poproszę kogoś o papierosa jak zobaczę, że pali. Zdarza się, że ktoś poczęstuje. To mam. Zapalę do wódeczki, albo wina. Ale coraz mniej ludzi pali. To nie to co kiedyś. Kiedyś wszyscy smolili. Teraz mało kto. Przez akcyzę. Parę lat temu paczka papierosów kosztowała 5 złotych. Teraz 15. I z roku na rok drożej.

Wracając na legowisko spotkałem Zeta. Poszliśmy razem jeszcze na śmietniki. Konkretnie na jeden. Koło supermarketu. Po dniu wyrzucają przeterminowane produkty. Albo lekko nadgnite owoce. Produkt dzień, czy dwa po terminie smakuje normalnie, ale nikt tego już nie kupi. A my podjemy. Dziś nie było dużo. Kilka jabłek i awokado. Zet ma nóż to rozkroił mi. Dziwne to awokado. Nawet słodkie nie jest. Co to za owoc co słodki nie jest. Ale zjedliśmy. Jabłka do plecaka i powrót na nocleg. Wieczorem robi się chłodniej. Nawet jak masz kurtkę to zimno. Bo się nie ruszasz. Jak chodzisz to jeszcze. A bez ruchu zimno przechodzi przez człowieka. Na wylot. Zostały mi jeszcze jakieś drobniaki z wina to dałem Zetowi. Bo dał tyknąć

z flaszyny, którą kupił ze zbierania do kubka. Pogadaliśmy chwile. I pod koc. Pod kocem da się żyć. Pod kocem można śnić.

## 5 GRUDNIA

Czasami jest taki dzień, że człowiekowi nie chce się żyć. Nie mówiąc już o wstaniu z łóżka. Ja łóżka nie miałem, ale i tak nie chciało się wstać. Na śniadanie jabłko i na kubek bo kieszenie puste. Po godzinie na kubku miałem 2 złote. Tragedia. Od rana pada śnieg. Początki zimy, ludzie poddenerwowani. Może dlatego tak mało dają. Nie wiem. Poszedłem do przykościelnej jadłodajni. Zjadłem mielonego z buraczkami i ziemniakami. Mnisi dobrze karmią. Ale trzeba być trzeźwym. U mnie z tym różnie. Poza tym nie przepadam za Kościołem. Wole sam sobie uezierać. Są tacy, którzy w ogóle nie żebrzą. Jedzą z jadłodajniach przy kościołach. Myją się w łaźniach które prowadzą mnisi. Ciuchy dostają w magazynach odzieży prowadzonych przez księży. Ja moją kurtkę mam z takiego magazynu. Księża prowadzą różne zbiórki. Pomagają bezdomnym, ale pieniędzy do ręki nie dają. Nawet pielgrzymki dla bezdomnych za darmo organizują. Chcą przyciągnąć do Kościoła pewnie. Pokazać jacy to są współczujący. Pewnie niektórzy są. Inni robią to bo wypada. Jak w życiu. Każdy ma swoją motywację. Ja staram się trzymać raczej z boku. Do mnichów, czy księży zaglądam tylko czasami. Jak potrzeba przycisnąć. Jak nie ma już innego wyjścia.

Nie wróciłem już na kubek. Postanowiłem popilnować samochody. Czasami dorabiam pilnując samochody na miejscach parkingowych koło pałacu. Ludzie dają 2-3 złote. Ze strachu. Niby za pilnowanie. A myślą, że jeśli nie dadzą to im lakier przerysuję. Nigdy nie przerysowałem. Podchodzę, pytam czy popilnować auta, dostaje drobne i stoję jak stałem. Jeden przyjeżdża, drugi odjeżdża. Taka robota. Człowiek się nie narobi. Dziś miałem farta. Jeden klient dał mi dychę. Łącznie z aut zarobiłem 27 czy 28 złotych. Starczyło na pół litra. Zostało jeszcze na trzy bułki i trochę sera. Dwie bułki dla mnie. Jedna dla Zeta.

Podjechałem dwa przystanki autobusem. Do galerii handlowej. Posiedzieć trochę w cieple. W galerii są darmowe toalety. Ciepło. Gra muzyka. Jest przyjemnie. Z godzinę, czy półtorej tam posiedziałem i wróciłem na legowisko. Trochę wcześniej niż zwykle. Pod galerią zobaczyłem faceta który kopnął swojego psa, bo ten chciał słuchać komend. Szkoda gadać. Szkoda komentować. Niektórzy ludzie są gorsi od najgorszych zwierząt. Na noclegu czekał już Zet. Miał 4 piwa. Ja dorzuciłem pół litra czystej. Na zagrychę bułka z serem. I tak można żyć. Lubię rozmowy przy alkoholu. Można się pośmiać. Jak jest z czego. Dziś nie było. Zet opowiedział co go spotkało. Facet potracił go samochodem gdy przechodził przez pasy. Nic wielkiego. Niczego chyba nie złamał. Chociaż ręka go boli. Przewrócił się. Ratował się podpierając ręką. Powtarza, że ręka go boli. Ale nie puchnie, więc nie jest źle. Gdyby był przechodniem jakich wielu pewnie dostałby odszkodowanie. A jest bezdomnym. Nie ma ubezpieczenia. Bezdomnych mało kto szanuje. Facet go jeszcze zwyzywał, że mu wszedł pod koła. Tak to już jest. Ale na moje oko bardzo źle nie jest. Skoro butelkę podnosi to życie w ręce jest. Przyłączył się trzeci muszkieter. Władek. Władek z wąsem. Przyniósł jeszcze butelczynę jakiejś majonki. Nie wiem skąd on to miał. Dostał od kogoś, czy kupił. Nie ważne. Pijemy. Ważne że jest. Zet opowiada jak pracował na budowach w Anglii. W stolicy. Wtedy to się dopiero piło mówił. Nikt nie kontrolował. To się jechało na dopalaczach. Bywało, że i dwa miesiące się nie trzeźwiało mówił. Wierzę mu. Budowlaniec z niego kiepski, ale pijak światowej klasy. Więc wierze. Pytam co zrobił z pieniędzmi. Za granicą się dobrze przecież zarabia. Trochę

poszło na życie mówi. Resztę przepuściła żona. Zanim mnie zostawiła. Życie kosztuje. Zarabiasz a życiu ciągle mało. Wynajem mieszkania. Samochód. Nigdy nie miałem mieszkania na własność, mówi Zet. A jak większość wypłaty idzie na wynajem to niewiele trzeba, żeby skończyć na ulicy. Oszczędności szybko się kończą. Tak to jest. Impreza się przeciągnęła. Było miło. Nikt nie powiedział, że bezdomnemu się nie należy chwila zabawy. Aby uciec od problemów. Aby zapomnieć. Jest o czym.

## 6 GRUDNIA

Rano głowa bolała. Nie ma co ukrywać. Zet wyskoczył na szabry. Wrócił z czteropakiem. Mówi, że kradzione lepiej smakuje. Jak dla mnie piwo to piwo. Smaku nie zmieniło. Wypiliśmy po dwa piwa. I powiedzieliśmy sobie do zobaczenia. Zet poszedł zaczepiać ludzi, ja poszedłem na kubek. Niektórzy stawiają na rozmowę. Zagadują do ludzi. Wyciągają pieniądze na różne sposoby. Ja źle bym się z tym czuł. Nie chce wkładać nikomu łapy do portfela. Siedzę spokojnie z kubeczkiem. Jeśli ktoś chce, wspomóżę drobniakami. Jeśli nie, to nie mam pretensji. Bez naciągania. Bez oczekiwania. Bez proszenia.

Podszedł dziś do mnie pewien starszy, siwy mężczyzna. Przyszedł z termosem. Poczęstował herbatą. I jakimiś czekoladowymi ciasteczkami. Herbata rozgrzewa. Bez dwóch zdań. A jak człowiekowi ciepło, to i na duchu jakoś lżej. Porozmawialiśmy chwile. Mówił, że jest emerytowanym nauczycielem fizyki. Mówił, że lubi ludzi. Uwierzyłem mu, bo dobrze mu z oczu patrzyło. Łagodny człowiek. Wypytywał gdzie mieszkam. Co mi trzeba. A mnie niewiele trzeba. A mieszkam na zewnątrz, ale pod dachem. Przy starym fabrycznym budynku. Na głowę nie sypie. Nie ma co narzekać. Są koce, są materace. Co mi więcej trzeba. Więc dorzucił mi do kubka. Trzy dychy się uzbierało. Jak szedłem do baru mlecznego minąłem innych bezdomnych. Dwóch. Przyćpali. Było widać, że odlecieli. Za wysoko i bez kontroli. Jak Ikar. Szkoda mi ich. Wielu jest takich. Nie mają granic. Wszystko co użebrzą i ukradną przećpają. Alkohol to nic dobrego, ale narkotyki to prawdziwa ludzka tragedia. Człowiek zmienia się w zombie. Żywy trup, który jedyne co potrafi to myśleć o kolejnej działce. Żeby strzelić w żyłę. Żeby odlecieć. Znam takich. Chociaż niewielu już zostało. Tacy szybko kończą. Najlepsze co ich może spotkać to więzienie. Gdy ktoś złapie na robocie. Ale zazwyczaj kończy się pod ziemią. Wcześniej. Zbyt wcześniej. Ja nie tykam tego świństwa. Wolę się napić.

Teraz jem. Jem i piszę. Jem jak hrabia. Schab w sosie z ziemniaczkami za piętnaście. Za drugie piętnaście kupię dwa wina. Za chwilę. Jak zjem. Później przegląd śmietników. Pisać skończę wieczorem.

Na śmietniku przy sklepie spożywczym znalazłem dwa sześciopaki przeterminowanego piwa. Dar niebios. Niewiele po terminie. Dobrze, że miałem plecak. Później poszedłem na śmietnik pod supermarket. I zrobił się tłok. Zostałem tam pewnego jegomościa. Młody. Dobrze ubrany. Włosy zrobione. Pachnie perfumami a grzebie w śmietniku. Mówią na nich hipsterzy. Ci którzy grzebią w śmietnikach to już najwyższa liga. Podobno robią to, żeby niczego nie marnować. Nawet przeterminowane jedzenie trzeba zjeść. Mnie nie muszą przekonywać. Ale co to za świat, w którym nowoczesny, bogaty człowiek udaje bezdomnego. Tego nie rozumiem.

Wróciłem na legowisko. Zet już się lenił. Jak wyszło z rozmowy, niewiele dziś robił. Czasami nie musisz wiele robić, żeby sześć piwek, lekko po terminie wylądowało na twoim stole. My stołu nie mieliśmy, ale sześć piw na głowę zrobiliśmy. Sprawnie. Umawiając się na



jutro. Zet obiecał, że pomoże mi zorganizować nowe buty, bo odkleiła mi się podeszwa. Po części, ale źle się chodzi. Kiedyś to się buty naprawiało. Teraz zawód szewca praktycznie umarł. Buty to chińszczyzna. Jednorazówka. Szkoda naprawiać. Przy ostatnim piwie dopadły mnie wyrzuty sumienia. Że nie chce przykładać ręki do złodziejskiego procederu. Że można pójść do magazynu odzieży. Może będą mieli mój rozmiar. Ale Zet nalegał. Mówił, że to będzie prezent. Że w ten sposób odwdzięczy się za piwa.

## 7 GRUDNIA

Trzeci dzień z rzędu padało. Śniegu co nie miara. Ale chodniki odgarniają, więc nie jest źle. Pojechaliśmy do sklepu z butami. Po drodze wypiliśmy jedno wino, które zostało z wczoraj. Zmierzyłem i wybrałem buty. Resztą zajął się Zet. Schował je do plecaka. Nie widziałem jak to robił bo wyszliśmy osobno. Ja rozmawiałem ze sprzedawczynią, on wyszedł z butami. Zet poszedł zaczepiać ludzi na stację benzynową. Nalegał, żebym do niego dołączył, ale nie chciałem. Wolałem wrócić na swoje miejsce na kubek. Po trzech godzinach miałem niecałą dychę. Jak pada to ludzie mało dają. Gdy dochodziła czwarta godzina siedzenia podeszła do mnie kobieta w średnim wieku. Blondynka. Zaproponowała obiad. Mówiła, że nie lubi jeść sama i że za mnie zapłaci. Zdziwiłbym się, gdyby coś jeszcze mnie dziwiło. Ale mnie już nic nie dziwi. Poszliśmy do pobliskiej restauracji. To nie bar mleczny. Tu ceny są inne. Chociaż jedzenie podobne. Zamówiła Gado-gado. Sałatka warzywna z jajkiem. Dla mnie wzięła Nasi goreng. Smażony ryż z warzywami i jajkiem. Całkiem smaczne. Ostre. Nazwy tych dań były tak dziwne, że aż je zapamiętałem. Do picia Jamu. Napój z kurkumą i miodem. Na koniec jeszcze zjedliśmy po dwa Bakwan jagung. Smażone placki z dużą ilością kukurydzy. Coś jak placki ziemniaczane. Podobne. Zapłaciła za całość 110 złotych. Nie do pomyślenia. Za stówę jadłbym przez tydzień w barze mlecznym. I jeszcze by mi zostało. Ale miło z jej strony. Podziękowała mi za towarzystwo i życzyła miłego dnia. Próbuje sobie przypomnieć o czym rozmawialiśmy. Głównie chwaliła się jak dobrze jej idzie w pracy. Jakie ma wyniki sprzedażowe. Że karierę robi. Pogratulowałem jej. Szczerze.

Nie wróciłem już na kubek. Za późno. Nie lubie zbierać jak jest ciemno. Pojechałem trzy przystanki autobusem do łaźni. Prowadzona przez księży. Darmowa. Są też płatne, ale szkoda pieniędzy. Mam niecałą dychę. Tylko. Wziąłem prysznic. Po myciu człowiek się rozluźnia. W łaźni można się też ogolić. Ścinają też włosy. Ja włosy ścinam gdzie indziej. W szkole fryzjerskiej. Też za darmo. Dziś tylko golenie. Maszynki. Pianka. Wszystko w łaźni jest. Można korzystać. Ale tyle tego miłego. W ciepłe.

Wróciłem na swoje rewiry. Szybki obchód po śmietnikach. W trzech, czy czterech miejscach. I znalazło się coś ciekawego. Kątowniki aluminiowe. Zaniósłem to to na skup. Wyszło kilo dwadzieścia. 4 złote za kilo. W zaokrągleniu dali mi piątkę. Uczciwy zarobek. Wracając na legowisko zahaczyłem o monopolowy i kupiłem dwa tanie wina po siódemce za sztukę. Gdy byłem już blisko noclegu zauważyłem coś dziwnego na chodniku. Zegarek. Nie taki plastik jak mam ja. Elegancki zegarek ze stalową bransoletą. Z białą tarczą i czerwonym sekundnikiem. Bransoleta do skrócenia. Schowałem do kieszeni.

Na legowisku czekał już Zet. Rozmawiał z wąsatym Władkiem. Obalali flachę. Dołączyłem dorzucając winiaki. Party w starym dobrym stylu. Męska gra w której karty są zbędne. Butelka i rozmówca. Władek opowiedział, że w lecie dostał pięć dych za wypicie butelki wódki. Dzieciaki kręciły filmik. W internet chcieli wrzucić. Bezdomny co jednym

haustem opróżnia butle. I udało się. Pięć dych do kieszeni. Serce wytrzymało. Jak się trenuje to i wysoka poprzeczka nie straszna. Zet pochwalił się podbitym okiem. Nie chciał się wdawać w szczegóły. Nieporozumienie, powiedział. I tak mija czas, na peryferiach wszechświata. Leniwie.

## 8 GRUDNIA

Tej nocy nie mogłem spać. Pełnia. Jasno i działa jakoś na człowieka ten księżyc. Zasnąłem dopiero nad ranem. Niewiele tego spania, ale skoro już jasno to żal nie skorzystać. Zet poczęstował mnie bułką z kabanosem. Nie wiem skąd miał. Ostatnio jest mało wylewny. Humorzasty. Powiedział, że nigdzie nie idzie. Że zostaje na legowisku. Jego wybór. Ja poszedłem na kubek. Dziś już nie padało. Świeciło słońce. Od razu ludzie bardziej zadowoleni. I więcej dają. Półtorej godziny i piętnaście złotych dzwoni w kubku. Zrobiłem sobie przerwę. Żeby rozprostować nogi. Przeszedłem się. Zajrzałem do zegarmistrza. Skrócił mi bransoletę w zegarku. Nałożyłem. Teraz chodzę już w nowym. Stary schowałem do kieszeni. Wypiłem piwko na skwerku i wróciłem na swoje miejsce na kubek. Chwilę po czternastej podszedł do mnie młody chłopaczek i wrzucił 3 złote. Kubek się ucieszył. Ucieszyłem się i ja. Zapytał czy mi nie zimno. Czy nie chciałbym napić się czegoś ciepłego. I tak od słowa do słowa rozwinęła się długa rozmowa. Skończyłem zbierać i poszedłem z chłopakiem do taniej burgerowni. Przedstawił się. Ma na imię Młodość. 18-latek. Uczniak. Zrzucił plecak. Usiedliśmy. Przy burgerze i herbacie. Bardziej wypytywał niż opowiadał o sobie. Pytał jak się żyje na ulicy. Czy mam z kim porozmawiać. Czy życie bezdomnego to tylko zbieranie pieniędzy i jedzenie. Uświadomił mi, że od lat nie wiem czym jest rozrywka. Zrobienie czegoś dla siebie. Aby dobrze się bawić. Choć przez chwilę. Bez alkoholu.

W pewnym momencie poprosił, aby opowiedział mu o wolności. Jesteś przecież wolny. Robisz co chcesz, stwierdził. Odpowiedziałem. Wolność nie polega na tym, że się robi co się chce. Wolność to robienie tego co właściwe. Wolność to porzucenie samego siebie. Wolność to rzucenie kajdan. Wolność to nie być kontrolowanym. Wolność to prawda. Nie samowola, która psuje człowieka, ale wolność, która buduje. W imię prawdy. W imię jedności. Dla dobra ludzi wokół nas. Bo wolność nie patrzy na interes własny. Wolność zobowiązuje. Wolność wiele od nas wymaga. Trudno być wolnym, zakończyłem. Ja ciągle się tego uczę. Staram się. Czasami złapię wolność za nogę. Ale mi się wyslizgnie. Innym razem minę ją jak przemyka ze spuszczoną głową. Czasami powiem jej dzień dobry, a ona się do mnie ukłoni. Znamy się. To na pewno. Ale jeszcze nie jesteśmy jednym.

Chłopak zaśmiał się i powiedział, że poprawiłem mu humor. Najedzeni, napojeni i z uśmiechem na twarzach rozstaliśmy się przed burgerownią. On poszedł na autobus, ja postanowiłem zaglądnąć na śmietnik koło spożywczaka. Był niedaleko. I jest. Trafiony. Całe pudełko jogurtów. Dzień po terminie. Do tego kiść bananów. Lekko szerniałe. Gdy banan jest czarny, nie znaczy że jest zły. Jest słodszy. To na pewno. W spożywczaku zaopatrzyłem się w małą butelkę 200 ml i wróciłem na legowisko. Zadowolony.

Na noclegu afera. Zet chory. Biega do kibla co chwilę. Czyści go. Brzuch boli. Z biegunką nie ma żartów. Łatwo się odwodnić. Zrobiliśmy zrzutę z wąsatym Władkiem. Na podratowanie zdrowia Zeta. Poszedłem do sklepu. Po drodze jeszcze apteka. Wróciłem z węglem w tabletkach i pięciolitrową butlą wody. Żeby Zet pił. Ile wlezie. Jutro się może zorganizuje coś więcej. Pójdę do mnichów. Poproszę. Może dadzą jakieś leki. Zet musiał się czymś zatruć.

Mówi, że ostatnie co jadł to frytki z budki pod dworcem. Pewnie to to. Miesiąc na jednym oleju smażyć to tak jest. Szkoda gadać. Trzeba ratować jak towarzysz tonie.

## 9 GRUDNIA

Zasnąłem jak dziecko. Spałem snem sprawiedliwego. Chociaż ze sprawiedliwością niewiele mam wspólnego. Po nieprzespanej nocy, kolejna bywa ukojeniem. Na śniadanie jogurt z bananem. Zdrowe żywienie. Dałem też Zetowi. Władek nie chciał. Zet od rana biegał do kibla, ale jeść coś trzeba. Nawet przy problemach z żołądkiem. Poszedłem do mnichów. Na jadłodajnię. Powiedziałem w czym rzecz. Poprosiłem o pomoc. Pomogli. Dali tabletki na biegunkę. Elektrolity. Chleb. I suchary. Powiedzieli, żeby Zet jadł tylko chleb i suchary. Dopóki nie puści. Dopóki się nie uspokoi. Wróciłem na legowisko. Nakarmiłem Zeta sucharami i tabletkami. I poszedłem na swoje miejsce. Na kubek. Kolejny ciepły dzień jak na tę porę roku. Około pięciu stopni. Słońce ogrzewa twarz, by po chwili schować się za chmurę. Dobrze się siedzi. Kubek się zapełnia. W pewnym momencie podbiegło malutkie dziecko. Może czteroletnie. I kopnęło kubek. Pieniądze rozsypały się na beton. Pozbierałem. Urwis.

Około 14:30 pojawił się Młodość. Wrócił. To on. Skończył lekcje i przyszedł się przywitać. Przyniósł mi kanapkę. Nie zjadł w szkole, żeby mi dać. Z szynką, jajkiem i ogórkiem kiszonym. Pyszna. Nie miałem serca zjeść ją sam. Rozerwałem na dwie części i zjedliśmy razem. Po połowie. Gdy jesz w towarzystwie, bardziej smakuje. Młodość opowiedział, że gra w szkolnej drużynie piłkarskiej. Młody sportowiec. Dobrze że ma pasję. Bardzo dobrze. Schowałem pieniądze do kieszeni a kubek do plecaka. Koniec zbierania. Ponad dwie dychy. Nie jest źle. Dobrze mi się rozmawiało z młodym kolegą, więc odprowadziłem go na przystanek. Czekaając na autobus zapytał mnie o przyjaźń. Czym jest prawdziwa przyjaźń. Odpowiedziałem. Przyjaźń to zespolenie ducha. To więcej niż otucha. To więcej niż pomoc. To zrozumienie bez słów. To traktowanie drugiego jak siebie samego. Przeżywanie razem chwil radości. Przeżywanie razem chwil smutku. Wzloty i upadki. Nigdy sam. Zawsze w parze. Przyjaciel nadaje życiu sens. To taka miłość. Braterska. Która skacze w ogień. Jak trzeba. Która martwi się. Nawet gdy nie trzeba. Która przeczuwa. Gdy jest potrzeba. Która stoi murem. Choćby nie wiem co. Pamiętaj drogi kolego, zakończyłem. Pamiętaj, żeby być przyjacielem. Nie tylko dla przyjaciela.

Młodość wszedł do autobusu numer 27 i machnął na do widzenia. Ja poszedłem do baru mlecznego na kapuśniak za siódmką. Stolik obok mnie miała miejsce niecodzienna scena. Młoda dziewczyna zwyzywała swojego chłopaka. Że nigdzie jej nie zabiera. Ani na wakacje, ani po nowy ciuch. Że jest dusigrosz i sknera. Pokrzyczała i wyszła obrażona. Chłopak spokojnie dojadł kalafiora i wyszedł kierując się w drugą stronę. Tak to jest. Z kobietami nie jest lekko, pomyślałem sobie kończąc zupę. Z pełnym brzuchem poszedłem na śmietnik przy bloku. Zamknięty. Kolejny śmietnik przy kolejnym bloku. Zamknięty. Trzeci blok i sukces. Ktoś zapomniał zamknąć. Zamykają te śmietniki, jakby tam skarby były. A rzadko coś się znajdzie. Krzesło. Całkiem dobre. Ktoś wyrzucił. Ale po cholerę mi krzesło sobie myślę. Zestaw uczniaka. Linijka, ekierka, kątomierz. To też mi niepotrzebne. Aż patrzę. I widzę. Pudełko. A w środku prawdziwe skarby. Kilka kaset z muzyką z lat 70-tych i 80-tych oraz kilka płyt winylowych. Pięknie. Może coś za to dostanę. Ale to nie dziś. Fajrant. Kupiłem czteropak piwa i wróciłem na nocleg. Jedno piwo dla wąsatego Władka. Reszta moja. Zet nie pije bo sra. Alkohol nie leczy. Wręcz przeciwnie. Władkowi dałem też mój stary zegarek. Ucieszył się, bo nie miał zegarka.

Teraz będzie już wiedział która godzina. Tylko żeby mu się od tej wiedzy w głowie nie przewracało. Pogadałem chwilę z Zetem. Narzekał, że choroba to nie życie. Że nie ma już siły. Rozumiem go, ale niewiele można zrobić. Jest osłabiony. Jest zmęczony. Trzeba to przetrwać.

## 10 GRUDNIA

Rano obudził mnie mróz. Szczypał w twarz. Jakby na złość. Nie wyśpisz się kolegiu. Żeby nie było Ci zbyt miło. Zbyt przyjemnie. Zobacz. Poczuj, że jestem. Taki z niego okrutnik. Wstałem. Zet dalej biegał do pobliskiego kibla. Szkoda mi chłopca. Ale co zrobić. Zjadłem dwa jogurty z bananem i poszedłem powalczyć o lepszy świat. Tym razem postanowiłem zmienić kolejność. Najpierw śmietniki. Później kubek. Ale przedtem kierunek sklep muzyczny. Gdzie skupują używane winyle i kasety. Trzeba było podjechać trzy przystanki autobusem. Pojechałem. W autobusie niespodzianka. Kanary. Kontrola biletów. Powiedziałem że nie mam. Oni na to, mandat. Ja do nich, jestem Bezdomny. Wasz mandat wisi mi przeterminowanym kalafiorem. Machnęli ręką i powiedzieli idź pan, ale drugi raz oka nie przymkniemy. Taka rozmowa. Taka przygoda. W sklepie muzycznym powiedzieli, że za wszystko dadzą mi piętnaście złotych. Dużo, nie dużo. Nie wiem. Cieszę się, że cokolwiek dostałem. Skoro już jestem w bocznej dzielnicy to sprawdzę co chowają po śmietnikach. I sprawdziłem. W śmietniku przy sklepie z owocami znalazłem świeżego ogórka. Przy kiosku dwie gazety. Codzienną i motoryzacyjną. Ja poczytam codzienną, a motoryzacyjna będzie dla Zeta. On lubi oglądać drogie samochody. Znalazłem też przeterminowane jajka, ale nie brałem. Z jajkami akurat trzeba uważać. Żeby się nie zatruć, jak Zet. Było też kilka puszek. Zgniotłem i wrzuciłem do plecaka. Kiedyś, przy jakiejś okazji się podrzuci do skupu.

Wróciłem autobusem do siebie. Standardowo bez biletu i poszedłem na kubek. Ktoś siedział na moim miejscu. Grzecznie poprosiłem, aby poszukał sobie miejsca gdzie indziej. Zasady to zasady. Wśród bezdomnych też funkcjonują. Każdy ma swoje miejsce i trzeba to respektować. Ludzie wrzucali jak wrzucali. Po dwóch godzinach miałem 12 złotych. I nagle stało się coś czego nigdy nie zapomnę. Zapłakana kobieta. Szła szybkim krokiem. Przeszła obok. Popatrzyła na mnie. Uszła jeszcze kawałek. Zatrzymała się i zawróciła. Podeszła do mnie. Ściągnęła pierścionek i dała mi do ręki. Rzucił mnie. Szuja. Zerwał zaręczyny, powiedziała. Odwróciła się i odeszła szybkim krokiem. Spojrzałem. Złoty. Z kamieniem. Może nawet diament. Schowałem do plecaka i postanowiłem nie sprzedawać. Zachowam na czarną godzinę, myślę. Może kiedyś się przyda. Szkoda byłoby go przepić. Nie minęło pięć minut a widzę znajomą twarz. Tak. To Młodość. Kolega. Wrócił. Przywitał mnie uśmiechem. I pyta co u mnie. Więc opowiadam, że kobieta mi się oświadczyła, nawet pierścionek dała. Pośmialiśmy się. Dostałem od niego jabłko i kanapkę. Zjedliśmy na pół. Powiedział, że zapisał się do szkolnego kółka teatralnego. I że dostała mu się niewielka rola. Roderigo z Otella. Tylko, żebyś zbytnio nie wczuł się w rolę. Bo Cię zepsuje. A szkoda takiego chłopaka, odpowiedziałem. W pewnym momencie Młodość poprosił mnie, opowiedz mi o poświęceniu. Ja na to, że nie ma innej drogi do miłości. Nie ma innej drogi do szczęścia. Tylko poświęcenie. Ono buduje. Stabilną więź. Poświęcasz się dla tych których kochasz. Dla tych którzy są Ci bliscy. Ale poświęceniem jest też odwrócenie się od osoby, która zaprasza do walki. Poświęceniem jest traktowanie wroga jak przyjaciela. Poświęceniem jest porzucenie pragnień. Dla życia. Tego

prawdziwego. Życia miłością. Poświęcenie to gest. Piękny. Najpiękniejszy z możliwych. To znak, że Twoje serce czuje. Że żyje. Oddycha.

Młodość posiedział ze mną jeszcze chwilę. Powiedział, do jutra i poszedł na autobus. Ja zostałem jeszcze godzinkę na kubku, bo dziś później zacząłem zbierać. Po zakończeniu dniówki pora na nagrodę. Wątróbka z cebulką w barze mlecznym za dziewiątkę. Dziś znowu zamieszanie. Byłem świadkiem jak facet chciał zwrócić danie bo znalazł w nim włos. To po co pan jadłeś prawie do końca jak był włos w jedzeniu. Znalazłem go jak już kończyłem, odpowiedział. I tak przeciągali linę. Stańto na tym, że delikwent dostanie kolejny obiad za pół ceny. Tyle jego. Wróciłem na legowisko z dwoma winami. Pogadałem chwilę z Zetem. Prosił, błagał i wyprosił. Dałem mu się napić trochę wina. Chociaż nie powinien przy takich problemach z brzuchem. Dostał też ode mnie biszkopty i pięciolitrową butlę wody. Kupiłem wracając z baru mlecznego. A na dobiecie gazetę motoryzacyjną. Ucieszył się. Było to widać. Oczy mu się śmiały. Pomimo zmęczenia chorobą. To był dobry dzień.

## 11 GRUDNIA

Zwlokłem się z mojego królewskiego łoża. Chwilę po dziewiątej. Znowu jakieś czarne myśli. Depresyjna piosenka w głowie gra i trąbi. Przypomina, że nie ma po co żyć. Mam ją głęboko. Robię swoje. Żyję. Zet wyglądał już dzisiaj trochę lepiej. Postanowiłem zorganizować mu jakiś obiad. Nie będzie biedaczysko czwarty dzień o chlebie, sucharach i biszkoptach. Poszedłem więc do mnichów na jadłodajnie. Poprosiłem, żeby mi zapakowali dla kolegi. Sam zjadłem żurek z kiełbasą. Wróciłem po około godzinie. Zostawiłem jedzenie Zetowi i kierunek na kubek. Dziś było chłodniej niż wczoraj. Okolice zera. Ktoś zawiązał mi karton, na którym zwykle siedzę. Pewnie Ci co sprzątają miasto. Bo komu by się kawałek starego kartonu przydał. Usiadłem więc na plecaku. I zbieram. Godzinę. Dwie. Trzy. Minęło trochę czasu. Patrzę. A tu Młodość. Cieszę się. Myślałem, że już nie przyjdzie. Można na nim polegać. Wspomógł dobrym słowem. Opowiedział jak wybił palca na WF-ie. Zjedliśmy na pół kanapkę. Z salami. I poszliśmy napić się herbaty. Do baru. Zwierzył mi się, że nie wie co ma robić. 18 lat. Niedługo matura. Niedługo koniec szkoły. A on nie ma planów. Nie wie czy studia, czy praca. A jeśli studia to jakie. Nie ma planu na życie. Nie potrafi wybrać. Więc dopytuję kolegę z czego jest dobry. Jakie przedmioty mu leżą. Mówi, że geografia i historia. Pytam co dokładnie. Odpowiada, że czasy najdawniejsze. Więc mówię mu, żeby poszedł w kierunku archeologii. Może to jakaś myśl. Odpowiada. Nie taka zła. Warta przemyślenia. Tylko czy jest po tym praca. Czy tylko sam dyplom w pakiecie z bezrobociem. Musisz rozpoznać realia. Sytuacja do sprawdzenia. W pewnym momencie zmienił temat i mówi do mnie. Powiedz mi coś o przywiązaniu. Zamyśliłem się. Chwilę. Bo nigdy nad tym się nie zastanawiałem. I mówię. Przywiązanie to więź. Powstaje gdy ktoś rozbija obóz w Twoim sercu. Gdy tam zamieszka. Niektórzy mówią, że przywiązanie powiązane jest z cierpieniem. Że są nierozzerwane. Jeśli kogoś kochasz, jeśli jesteś do niego przywiązany, prędzej czy później go stracisz. Odejdzie, lub umrze. Naturalna kolej rzeczy. I tu pojawia się pytanie, czy przywiązanie jest dobre. Ja myślę, że jest kwintesencją życia. Bez przywiązania nie ma miłości. Bez przywiązania nie ma życia. Bo życie, mój młody przyjacielu, to nie tylko chwile radości i cieszenia się z towarzystwa drugiej osoby. Ale także chwile smutku. Zranienia. Rozstania. Straty. To piękno życia. Jego wieloaspektowość. Jego różne strony i odcienie. Przywiązanie sprawia, że warto. Przywiązanie to odwrócenie się od samotności. Przywiązanie to zanurkowanie w morzu miłości.

Chłopak podziękował. Powiedział, że lubi ze mną rozmawiać. Że w jakiś dziwny sposób lżej mu na duszy po rozmowie ze mną. Nie wiem. Chociaż skoro tak mówi to może tak jest. Jednych denerwuję, innym poprawiam humor. Tak to już jest. Rozeszliśmy się i poszedłem do skupu. Oddać wczorajsze puszki. Musiałem czekać dobre piętnaście minut bo ktoś rozładowywał akurat całego dostawczaka złomu. Ten to się obłowi, myślę. To jest jak biznes. Dla niektórych. Za puszki dostałem złoty pięćdziesiąt. Dobrze, że na kubku ponad dwadzieścia. Poszedłem do baru mlecznego. Na rosół za siódmkę. Gdy jadłem do baru przyszła kobieta z dwójką dzieci. Jeden z maluchów chciał gołąbki. Drugi naleśniki. Zamówiła gołąbki. Musiała na coś się zdecydować. Drugie dziecko było niezadowolone. Obraziło się i na złość mamie i bratu odmówiło jedzenia. Zostało głodne. Gdy masz pieniądze tylko na jeden posiłek trudno zadowolić trzy osoby. Wychodząc dałem kobiecie siódmkę. Na naleśniki dla malca. Dziś odpuściłem sobie śmietniki. Nie chciało mi się buszować w kontenerach. Kupiłem trzy piwa, bo na tyle było mnie stać. I wróciłem na legowisko. Pogadałem chwilę z Zetem. Mówi, że już jest dobrze. Jeszcze rano go męczyło, ale teraz, wieczorem już spokój. Chyba przeszło. To dostał jedno piwo w nagrodę. Za dzielność. Że przetrwał. Zuch.

## 12 GRUDNIA

Nawet nie otworzyłem oczu a już myśli zdradzieckie. Że lepiej bez, niż z. Że lepiej gdybym podarował sobie dalsze troski. Idzie do tego się przyzwyczaić. Chociaż niektórzy się na to leczą. Ja się leczę alkoholem. Ostatni jogurt dałem Zetowi. Ja nie byłem głodny. Rano rzadko mam apetyt. Poszedłem się przejść. Rozchodzić zimno. Zmrożone mięśnie. Wróciłem. Pogadałem jeszcze chwilę z Zetem. Był myślami przy temacie chorobowym. Dobrze, że już tylko myślami. Opowiedział mi jak niektórzy bezdomni naciągają lekarzy na mocne leki, a później sprzedają recepty. Są tacy którzy kupują. A nawet składają "zamówienia" na konkretne leki. Bezdomnym wypisują leki. Nie muszą bardzo się starać symulując choroby. Flaszka za receptę i interes się kręci. Słucham, ale nie wyciągam wniosków. Każdy orze jak może. Ja wolę posiedzieć na kubku. I tam idę. Ale po drodze niespodzianka. Przygoda. Byłem świadkiem jak kobieta zjechała na pobocze. Zatrzymała się, bo złapała kaptur w jednej z opon. Zmieniłem jej koło na zapasowe. Sama nigdy tego nie robiła. Szpilki i garsonka nie pasują do gmerania przy kołach. Chciała mi zapłacić za pomoc, ale nie przyjąłem pieniędzy. Nie zrobiłem tego dla pieniędzy. Potrzeby serca nie da się spieniężyć.

Na kubku jak to na kubku. Zapomniałem wziąć karton z legowiska, więc znowu siedziałem na plecaku. Przydaje się ten plecak, nie ma co. Ludzie wrzucają. Czasami. Gdyby chociaż jedna trzecia wrzuciła po złotówce. Byłbym bogaty. Wrzuca co dwudziesty. Może. Ludzi przewija się sporo. W kubku widać dno. W pewnej chwili podszedł młody chłopaczek. Nie wiem co około południa robił na mieście. Powinien być w szkole. Chyba. Dał mi połówkę czekolady 72% kakao. Uśmiechnął się. Powiedział, miłego dnia. I odszedł. Po mniej więcej godzinie moim oczom ukazał się Młodość. Wrócił. Jak zwykle. Przywitaliśmy się uśmiechami. To co, pomożesz mi zbierać, pytam. Mówi, że musi najpierw przyuczyć się do zawodu. Poćwiczyć. Tak na harpagana niewiele zdziała. Bumelant z Ciebie i kropka, zakończyłem. Fajnie tak pożartować. Jak jest z czego. A nawet jak nie ma. Też. Można. Mówi, że posprzeczał się z kolegą. Że poszło o dziewczynę. Nieporozumienie. Kolega myśli, że próbuję startować do jego miłości. Nie odważyłbym się. To nie w moim stylu, mówi. Tylko rozmawiamy. Lubię ją. Miła. Fajna koleżanka. Nic więcej. Ale kumpel tworzy już jakieś wizje podstępny. Powiedz mu, że

jesteś gejem, odpowiedziałem śmiejąc się okrutnie. Geje są teraz w modzie. Uwierzy. Da mi spokój. Na amen. Podsumował chłopak. Po chwili żartów Młodość wyskoczył z poważniejszym pytaniem. Jak to ma w zwyczaju. Opowiedz mi o lojalności, mówi. Więc mówię. Lojalność jest wtedy gdy można na człowieku polegać. W każdej sytuacji. Lojalność to wiara. Wiara w samego siebie, że robisz jak należy. I wiara drugiej osoby w Ciebie. Że zrobisz jak trzeba. Że nie zostawisz drugiego w potrzebie. Na lodzie. Na kłodzie. Lojalny człowiek wie kiedy można, a kiedy trzeba. Lojalny człowiek wie, że ma na drugie imię potrzeba. Potrzeba pomocy, potrzeba działania, aby nie wyjść na ostatniego drania. Lojalność jest także w rodzinie. Bez lojalności więź w rodzinie zginie. Długo się na nią pracuje, szybko można ją stracić. Bo lojalność to inaczej dobre imię.

Ja mam dobre imię. Młodość brzmi dobrze. Powiedział chłopak żartując. Nigdy nie twierdziłem inaczej, odpowiedziałem. Porozmawialiśmy jeszcze chwilę. Zjedliśmy na pół kanapkę. Na deser mieliśmy czekoladę. I w dobrych humorach rozeszliśmy się. Każdy w swoją stronę. Młodość wrócił do domu. Ja poszedłem do chińczyka. Czasami można posmakować trochę orientu. Wziąłem makaron ryżowy w warzywami. Wszystko zalane sosem sojowym. Tak było na zdjęciu. W oczekiwaniu słuchałem rozemocjonowanych kibiców. Przyjechali na mecz. W zimie piłka nożna ma przerwę. Ale grają w siatkówkę. I na kibiców siatkówki trafiłem. Dobrze. Wspierają swoich. Ja kibicuję wszystkim. Bez wyjątku. Niech każdy cieszy się szczęściem. Bo poza radością nie ma szczęścia. To byłoby moje hasło. Na bilbordy. Gdybym startował w wyborach na miejskiego sołtysa. Zjadłem. Nie było złe. Oczy też nie zrobiły mi się skośne od tego jedzenia. Po drodze na nocleg zatrzymałem się przy supermarkecie. Znowu hipster. Życzyłem mu udanych łowów i poszedłem na mniejszy śmietnik. Koło spożywczaka. Chwila wystarczyła, żeby coś się znalazło. Ser żółty. Po terminie. Ale pakowany próżniowo. Nie wierze, że zepsuty. I krzyżówki. Panoramiczne. Ja nie rozwiązuję. Będzie dla Zeta, albo wąsatego Władka. Może.

Wróciłem. I faktycznie. Na krzyżówki połakomił się Władek. Poczęstował mnie za to winem. Ja wyciągnąłem z plecaka drugie. Dosiadł się Zet. Rozmawialiśmy. O winie. O tym, że towarzyszy człowiekowi od zawsze. W czasach pokoju i wojny. Na stołach bogatych i biednych. Wino ma coś w sobie. Lub napój winopodobny. Co kto lubi. Lub raczej, na co kogo stać.

### 13 GRUDNIA

Wstałem. Niechętnie, ale jednak. Czasem kusi mnie, żeby nie wstać. Żeby przeleżeć cały dzień. Wziąć urlop od życia. Zadowolając się tylko oddychaniem. Nic nie robić. I cieszyć się z tego niczego. Ale to nie dziś. Wolę się ruszyć. Może zobaczę się z Młodością. Może zjem żeberka. Tak mi się zamarzyło. Zobaczymy. Tym razem nie zapomniałem o kartonie. Poszedł razem ze mną. Po drodze, na przystanku zobaczyłem studenta. Albo kogoś kto wyglądał jak student. Palił. Skusiłem się. Poprosiłem. Poczęstował. Zapaliłem. Zakręciło mi się w głowie. Teraz żałuję. Znowu będzie ciągnęło mnie do papierosów kilka dni. A miałem nie palić. Człowiek to słaba istota. Silna wola silna jest jedynie z nazwy. Musi być dumna. Z tego jak się nazywa. Usiadłem na swoim miejscu. I czekam. I patrzę jak krok za krokiem posuwają się ludzie. Bez celu. Albo z celem. Z perspektywy chodnika niczym się od siebie nie różnią. Jedni od drugich. Jeden jegomość wrzucił dychę. Wyciągnąłem i chuchnąłem na szczęście. Niech się mnoży. Żeberka nie są tanie. Zagadała do mnie kobieta w średnim wieku. Trochę młodsza niż średnia. Przedstawiła się. Mówi że jest Eva. Że jest poniżej zera a ja tak siedzę na betonie. Że

przyniesie mi coś ciepłego. Jakiś koc. Jakąś zupę. Mówię, że nie musi się kłopotać. Nalega. Dużo mówi. I szybko odchodzi. Siedziałem jeszcze dwie godziny. Nie wróciła. Pewnie wypadło jej z głowy. Wrócił natomiast mój kompan. Młodość. Zdziwiłem się. Ale mi przeszło. Zaśmiał się, że czym zimniej, tym humor mam cieplejszy. Chodziło mu o to, czego nie można wyrazić inaczej niż przez śmiech. Mówi, żebyśmy jedli. Zanim kanapka zamarznie. To zjedliśmy. Tym razem inaczej. On wziął górną część bułki, ja dolną. Kanapka musiała się zdziwić. Nie mniej ode mnie. Chłopak opowiada, że jego mama straciła pracę. Firma w której pracowała splajtowała. Ogłosiła upadłość. Teraz będzie ich utrzymywał tylko ojciec. Dopóki mama czegoś nie znajdzie. Odpowiadam, że w razie potrzeby zawsze pomogę. Na ile będę mógł. Niedużo. Ale pomogę. To już nie jest żart. Smutne, gdy ludzie tracą źródło dochodu. Ale co poradzić. Trzeba pchać dalej wózek zwany życiem. Dopóki jest pełny. Nawet jeśli złapie się kaptura.

Po chwili milczenia Młodość powiedział. Powiedz mi coś o tęsknocie. Księża mówią, że prawdziwa tęsknota to ta do Boga. Ja mówię, że prawdziwa tęsknota to ta za bliskością drugiej osoby. A może to to samo. Gdy tęsknisz ciesz się. Bo masz do kogo. Gdy tęsknisz ciesz się. Bo kochasz. Bo wiesz, że na świecie jest ktoś kto tęskni za Tobą. I dwie tęsknoty. Dwie łzy. Dwóch serc. Spotykają się. Całują się namiętnie i łączą w jedno. Duch nie jest już sam. Duch zyskuje nowe życie. W jedności. Za sprawą tęsknoty. Tęsknota jest początkiem. Zjednoczenie jest życiem. Pięknie mówisz, powiedział chłopak. Tylko piękna dusza jest w stanie zobaczyć piękno w innej duszy, odpowiedziałem. Może. Nie wiem. Odpowiedział zmieszany Młodość. Idę na przystanek. Pomogę mamie z obiadem. Żeby nie musiała sama wszystkiego robić. Pomogę mamie jakimś żartem. Żeby zadusić jej kiepski nastrój.

Młodość poszedł na przystanek. Ja poszedłem na żeberka. Do baru mlecznego. Mój ulubiony. Bo najtańszy. Żeberka brak, słyszę od kobiety. Klient dopiero odebrał ostatnią porcję. Będą jutro. Może. To wziąłem gulasz za dwanaście. Smaczny. Nie żałuje. Usiadłem obok faceta, który sprzątnął mi sprzed nosa ostatnią porcję żeberka. Był z psem. Karmił go żeberkami. Jeden kęs mężczyzna. Jeden kęs pies. Jeden kęs mężczyzna. Jeden kęs dla psa. Mówię do nieznanego, że nie uwzględnił różnicy w wadze. Przy takiej dysproporcji powinien trzymać się czterech kęsów dla siebie i jednego kęsa dla psa. Odpowiedział, pies też człowiek. Nie zaprzeczyłem. Zaopatrzony w czteropak wróciłem na legowisko. Zet już czekał z flachą. Widać, już mu lepiej. Wrócił do formy. Pije jak dawniej. Opowiedziałem co miałem do opowiedzenia. Żebro Adama. I tak dalej. Aż do wyrzygania.

## 14 GRUDNIA

Gdy zimą śpisz na zewnątrz nie potrzebujesz budzika. Na śniadanie piwo. Lodówka także jest zbędna. Piwo odpowiednio schłodzone. Zet gdzieś poszedł. Wrócił po trzydziestu minutach. Z butlą czystej. Ja poszedłem do kibla. Gdy wracałem narobił na mnie ptak. Nie ma jak w dobrym humorze zacząć dzień. Pomyślał ptak. Pomogłem Zetowi z flachą. Wąsaty Władek też się przysiadł. Zet opowiada jak kradł kiedyś w sklepach w Anglii. W stolicy. Co szło. Co podeszło. Mówię, że jadę zrobić dziś pranie. Władek mówi, że jedzie ze mną. No to pojechaliśmy. Pralnia jest przy łaźni. Trzy przystanki trzeba podjechać. Zabrałem koce, ciuchy. Jak leciało. Wyprałem. Od razu można wysuszyć. Świetna sprawa. Skoro już byłem przy łaźni to wziąłem prysznic i ogoliłem brodę. Wąsaty Władek nie miał tylu rzeczy. Ma tylko jedno ciuchy na zmianę. Mniej zachodu. Wróciliśmy na legowisko. Odwieźć szmaty. I na kubek. Kierunek obrany. Mróz dawał się we znaki. To nie francuska riwiera. Złotówka do złotówki.



Ruszam palcami, żeby ogrzać dłonie. Podchodzą strażnicy miejscy. Pytają czy mi nie zimno. Gdzie śpię. Czy nie chcę do noclegowni. Taki wywiad. Środowiskowy. Zamiast przyjść z herbatą i ciasteczkami to wypytyują jak na przesłuchaniu. Poszli. Tyle dobrego. Siedzę kolejną godzinę. Jest i on. Młodość. Jak zwykle na posterunku, wypalił na wejściu. Jak zawsze uśmiechnięty, powiedziałem w odpowiedzi. Mówił, że w szkole awaria ogrzewania. Ja na to, że zima nie ma awarii. Że nigdy nie weźmie nawet dnia wolnego. A szkoda. Że nikt nie przekona jej, żeby wyjechała na urlop. Pod palmy. Choćby na kilka dni. Last minute. Nawet bym się dorzucił do biletu, mówię. Herbata, zapytał chłopak. Kawa, odpowiedziałem z uśmiechem. No to idziemy. Kawa rozgrzewa. Kawa sprawia, że człowiek dobrze się miewa. W pewnym momencie Młodość powiedział. Powiedz mi coś o odpowiedzialności. I mówię. Odpowiedzialność to dojrzałość. Jesteś odpowiedzialny nie tylko za siebie. Ale także za najbliższych. Być odpowiedzialnym za siebie to nie robić głupstw. Iść prostą drogą. Cieszyć się życiem. A nie gniciem. Duszy. Którą wiatr poruszy. Musisz pilnować, by chronić duszę i ciało. Musisz pilnować, by nic złego się nie stało. Z odpowiedzialnością za innych jest podobnie. Pomagasz. Przekonujesz. Ratujesz. Gdy widzisz, że ktoś tonie. A nawet gdy widzisz, że zaraz ubłoci buty. Ostrzegasz. Edukujesz. Własnym przykładem. Bądź dojrzałym kwiatem. Nie dojrzałym chwastem. Odpowiedzialność kwiatu to dzielenie się pięknem. Odpowiedzialność chwastu to niszczenie tego co piękne i przydatne. Wybierz odpowiedzialnie. Odpowiedzialność.

Odprowadziłem Młodość na przystanek. On pojechał do domu. Ja pięć przystanków pod market budowlany. Na śmietniki. Sukces. Metalowa siatka. Prowadnice. Kawałki prętów. Było co nieść. W autobusie patrzyli na mnie jak na wariata jak wiozłem to na złom. Na skupie dali mi złotówkę za kilogram. Uzbierało się tego 11 i pół kilo. Łatwo policzyć. Później na obiadokolację. Do baru mlecznego. Nie ma jak pierwszy posiłek o 17. Dzisiaj już nie miałem ochoty na żeberka. Zamówiłem schabowego z ziemniaczkami. Młoda dziewczyna rozbiła talerz. Przypadkowo. Dobrze, że pusty.

I powrót na legowisko. Zet skombinował pęto kiełbasy. Nie byłem głodny. Schowałem kawałek który dostałem. Będzie na śniadanie. Myślę i słucham o tym, jak Zeta denerwują ludzie. Jacy są bez serca. Myślą tylko o sobie. Nie chce mi się gadać. Kładę się i piszę. Miło przykryć się czystym kocem. A nawet dwoma.

## 15 GRUDNIA

Dziś zimno. Czyli nic nowego. Zimie się jeszcze nie znudziło. Pokraka. Rano czytam gazetę i przegryzam kawałkiem kiełbasy. Gazeta od Władka. Pożyczona. Piszą, że w Australii płonie las. W Afryce wojna. W Ameryce sen. Niewiele się zmienia. Niewiele może się zmienić. A czego się spodziewałeś, pyta retorycznie Zet. Od tysięcy lat wciąż to samo. Kasa, kasa, kasa. Świat się nigdy nie zmieni, zakończył. Ja tam niczego nie jestem pewny.

Przed kubkiem wizyta w szkole fryzjerskiej. Ścinają włosy za darmo. Choć czasami trzeba chwilę poczekać. Jak dziś. Powrót autobusem. I na kubek. Nie mogłem znaleźć mojego kartonu do siedzenia. Był w koszu. Chowam go w krzakach, żeby nie musieć go nosić codziennie. Siedzę. Przyglądam się butom przechodniów. Myślę. Że gdyby buty umiały mówić, założyłyby związek zawodowy. Powalczyłyby o prawo do emerytury. Pracują codziennie. Bez przerw na kawę i papierosa. Bez drugiego śniadania. Pracują bez względu na pogodę. Nie narzekają. Mało kto je umyje od czasu do czasu. A gdy się zużyją, wyrzuca się je na śmietnik. Nawet nie próbuje się ich naprawiać. Od tak. Po prostu. Kosz i do widzenia. Mnie też

emerytura nie grozi. Za to kosz się czasem o mnie pyta. W pewnym momencie widzę biegnącego dzieciaka. Schylił się, chwycił mój kubek i zwiął. Zabierając ze sobą dwie godziny mojego zbierania. Poszedłem do kawiarni po nowy papierowy kubek. Jak się poprosi to dają za darmo. I siedzę dalej. Kolejne trzy godziny. Pod koniec. Gdy już miałem się zbierać. Widzę. Nie tak starego, ale z pewnością dobrego Młodość. Wstałem i podałem mu rękę. Nogi mi ścierpły. Muszę rozchodzić. Chłopak mówi, że kupił z kieszonkowego bilety do teatru. Idziemy za trzy dni. Mam nadzieję, że mnie nie wystawisz, zakończył. Zaniemówiłem. Od lat nikt nie zrobił dla mnie czegoś tak miłego. Podziękowałem. Chociaż ciężko było wyrazić to co czuję słowami. Próbowałem. Zjedliśmy na pół kanapkę. Z wędzonym łososiem i jajkiem. Przypomniały mi się stare czasy. Żona mi takie robiła. Smaki jak myśli. Zostają w człowieku. Przywierają do głowy. Mówię mu, że stawiam kawę. I pijemy. W najlepsze. Doborowe towarzystwo. Gorzkawy posmak kawy. Wszystko do siebie pasuje. Do kawy po ciastku. I człowiek zapomina, że jest bezdomny. Gdy kończyliśmy kawę Młodość zapytał. Nie byłby sobą, gdyby nie poruszył poważnego tematu. Powiedz mi coś o miłości. Więc mówię. Miłość jest jak smak kawy. Czasami gorzkawa. Czasami zaskakuje słodyczą. Jednak zawsze ma głęboki, pełny smak. Zawsze pobudza zmysły. Sprawia, że dzień staje się lepszy. Sprawia, że nie żyjemy beczynnym. Bo miłość jest czynem. Jest gestem. A czasami słowem. Przybiera różne formy. W zależności od okoliczności. Ale łatwo ją poznać. Po oczach. Po tym, że zmiękcza serce. Trudno przejść obok niej obojętnie. Rzuca się w oczy, choć nie chce. Nie chce być zauważana. Ale jest widziana. Bo różni się od świata. Pędzącego i szarego. Na jego tle wydaje się kolorowym ptakiem. Który śpiewa swą pieśń. Bez względu na to co dzieje się wokół niego. Jest sobą. Ptak i miłość. Choć czasami miłość odlatuje jak ptak. Ale zawsze wraca. Kochać to żyć. Jak kolorowy ptak.

Skończyliśmy kawę. Odprowadziłem kolegę na autobus. Podjechałem dwa przystanki. Czasami lubię zmienić śmietnik. A nie zawsze ten sam. Obchód po śmietnikach osiedlowych. Większość była zamknięta. Tylko dwa otwarte. W pierwszym jakieś farby, doniczki, zastony. Nic przydatnego. W drugim znalazłem toster. Po chwili jeszcze słuchawki na uszy. Szału nie ma, ale lepsze to niż nic. Wróciłem w swoje rejony. Bar mleczny. Zamawiam pierś z kurczaka w sosie pieczarkowym. Wydaję wszystko co mam. Za mną stoi kobieta z gołymi nogami. Pytam z uśmiechem czy jej nie zimno. Ona odpowiada, że jest gorąca laska i śmieje się na głos. Uwierzyłem. Staram się jej nie dotknąć, żeby się nie poparzyć. Najedzony wróciłem na nocleg. Bez alkoholu. Kieszenie puste. Ale nie jest tak, żeby trzeba było o suchym pysku siedzieć. Zet wyjmuję wino. Potem drugie. Wąsaty Władek przedstawia mi Stefcia. Stefccio zaczyna karierę bezdomnego. Władek spotkał go na blokach, jak szukał miejsca na nocleg. Zostanie u nas jak się zgodzisz, mówi. Jasne. Witaj Stefccio. Twoje zdrowie. Od słowa do słowa. I opowiedział nam Stefccio o sobie słów parę. Ledwo po trzydziestce a już bankrut. Mówi, że stracił wszystko w kasynach i u bukmacherów. Zakolegował się z lichwiarzami. A tacy koledzy to już upadek niemal pewny. Stefccio upadł. Odwróciła się od niego rodzina, po tym jak musiała spłacać jego długi. Nieprzyjemna historia. Ciężko się słucha. Ale nie jeden tak popłynął. Nie jeden jest uzależniony od hazardu. Ulica ma wielkie serce. Przyjmie każdego.

## 16 GRUDNIA

Znowu napadało śniegu. Rzuciłem śnieżką w Zeta. Krzyknął, że zwariowałem. Więc rzuciłem drugą. Trafiłem. Nie było nic do jedzenia. To poszedłem na śmietnik koło supermarketu. Trafiłem. Konserwa. A nawet dwie. Lekko po terminie. Ale puszki długo wytrzymują. Nie ma się czym martwić. Do tego papryka i bakalie. Zjadłem puszkę bez chleba. I na kubek. Po drodze. Patrzę. Widzę. Młokos na rowerze. W zimie. Po chodniku. Na śniegu. I nie wyhamował. Przewrócił się. Na szczęście nic mu nie jest. Gdyby był mądrzejszy, pewnie by się połamał. Doszedłem. Usiadłem. Zbieram. Dziś jakiś dziwny dzień. Dużo więcej ludzi się kręci. I sporo obcokrajowców. Jeden facet wrzucił 10 dolarów. Inny 5 euro. W złotówkach cztery dychy. Dawno tyle nie nakosiłem. I to po trzech godzinach. Siedzę więc zadowolony dalej i czekam na Młodość. Może przyjdzie i tym razem. Nie zawiodłem się. Pojawił się. Zadowolony. Wyciąga dwie kanapki. Dziś mama zrobiła dwie. Każdy ma swoją. Trzymaj, mówi. I jemy. Z serem i pomidorem. Pyszna. Czego Ci najbardziej brakuje mieszkając na ulicy, zapytał chłopak. Komputera, telewizji, zastanawia się na głos. Nie, odpowiadam. Niczego mi nie brakuje. Stare życie umarło. Grzebiąc ze sobą oczekiwania i przyzwyczajenia. Przyjemnie mieszkać w ciepłym domu. Spać w świeżej pościeli. Surfować po internecie. Ale gdy tego nie masz, przyzwyczajasz się. Nie ma co rozpaczać. Jest co innego. Inne życie i inne problemy. Lub wyzwania. Zależy jak kto je nazywa. Mnie by najbardziej brakowało internetu, kończy chłopak. Po chwili wstaję. Zbieram swoje rzeczy. Chowam karton. Kolejne pytanie od Młodości. Opowiedz mi o pieniądzach. Milczę przez chwilę. I zaczynam. Dobrze je mieć. Życ bez nich nie sposób. Ale nie można się w nich zakochiwać. Bo to platoniczna miłość. Wyniszcza. Wypala człowieka. Sprawia, że cierpisz. Pieniądze nie znają litości. Pieniądze nie współczują. Uzależniają. Ciebie i siebie. Od siebie. By być w ruchu. By płacić, wypłacać, zarabiać, chować, wydawać. Więcej. Wciąż więcej. Gdy je masz, myślisz, że jesteś kimś. Gdy ich nie masz, myślisz, że jesteś nikim. Więźniów mamony jest bez liku. Pieniądz się z nimi nie liczy. Nie traktuje poważnie. Pieniądz gardzi tymi, którzy są od niego uzależnieni. Bądź od niego mądrzejszy. Trzymaj pieniądze na dystans. Nie spoufalaj się. Wydawaj, bez poczucia straty i zarabiaj bez poczucia zysku. Żyj a nie śnij.

Młodość powiedział mi o co chodzi z tym tłokiem na ulicach i chodnikach. Przyjechał prezydent. Z zagranicy. Złożyć kwiaty pod pomnikiem poległych. Całe miasto stoi. Ulice pozamykane. Byliśmy niedaleko pomnika, więc pytam czy idziemy zobaczyć to całe zamieszanie. Młodość kiwnął głową. To idziemy. Prezydent akurat przemawiał. Mówił coś o zwykłych ludziach i o równych szansach. O dobrobycie i rozwoju. Ludzie klaskali. Pomachałem mu. Nie odmachał.

Odprowadziłem Młodość na przystanek. Sam poszedłem coś zjeść. Bar mleczny. Barszcz czerwony z uszkami. Pan myśli, że już wigilia, z uśmiechem mówi kobieta która wyszła z kuchni. Tylko niech mi pani pieniążka w uszka nie wkłada. Zamiast się wzbogacić połamię na nim zęby. Kobieta uśmiechnęła się. Wzięła brudne talerze i wróciła na kuchnię. Zjadłem i w drogę. Do kantoru wymienić dolary i euro. Po małą flaszynek do sklepu i powrót na legowisko. A tam rozmowa na całego. O prezydencie. O polityce. O tym kto komu co robi a co kto komu powinien. Nie odnajduję się w takich tematach. Łyknąłem z flaszyny, resztę oddałem chłopakom i położyłem się. Przykryłem kocem. Kończę pisać i spać. Juto przyniesie nowe niespodzianki. Zawsze przynosi.

## 17 GRUDNIA

Jak padało wczoraj, tak pada i dziś. Tylko że śnieg z deszczem. Dla odmiany. Bo jest na plusie. Wszystko się topi. Robi się chlapa. Ciemna breja. Na śniadanie jem konserwę. Na pół z Zetem. On dorzucił chleb. Z chlebem wszystko lepiej smakuje. No prawie. Zet mówi, że smak jego dzieciństwa. Ja tam za dzieciaka przeterminowanych konserw nie jadłem, odpowiadam ze śmiechem. Na koniec po kawałku papryki i w drogę. Poszedłem do antykwariatu w poszukiwaniu prezentu dla Młodości. Jakaś książka. O starych czasach. Które już nie wrócą. Chyba, że czasy nigdy się nie zmieniają. Tak też może być. W oko wpadła mi książka o Egipcjaninie. Sinuhe na niego wołali. Niech będzie, myślę sobie. Płacę i wychodzę.

Przechodzę koło mostu. Dziś afera. Dziewczyna skoczyła z mostu. Młoda. Zbyt młoda. Zbyt mało widziała. A z życiem się rozstała. Ściągnąłem czapkę. I milczałem przez chwilę. Myśląc, że coś z tym światem jest nie tak. Że tylu ludzi odbiera sobie życie. Że tylu ludzi wypisuje się na własne życzenie. Ciemność, myślę. Wciąga. Ciągnie na dno. Pilnuje, żebyś nie złapał oddechu. Trzeba być sprytniejszym. I wymknąć się ciemności. Niepostrzeżenie. Zanim się udusisz.

Następnie do magazynu odzieży po jakiś wyjściowy ciuch. W końcu jutro idę z Młodością do teatru. Autobus. Piechota. I jestem. Mieli spodnie w kant. Leżą jak ulał. I sweter w starym stylu. Na guziki. Elegancki. Podziękowałem. I powrót na moje rejonny. Na kubek. Po drodze zastanawiałem się czy zebrał bym więcej czy mniej, gdybym ubrał to wyjściowe ubranie. Bezdomny powinien wyglądać jak bezdomny. Nie jak bogacz z fanaberią. Czy hipster z markowym swetrem z dziurami.

Dziś plucha. Niskie ciśnienie. Ludzie niewiele wrzucają. Woleliby zapomnieć o tym dniu. Jedni. Inni woleliby zapomnieć o sobie. A większość wołałaby zapomnieć o mnie. Ale nie wszyscy. Po około trzech godzinach pojawił się i on. Młodość. We własnej osobie. Mówię mu, że mam coś dla niego. Od odpowiada, że ma coś dla mnie. Wyciągam z plecaka książkę i daję mu do ręki. On wyciąga z plecaka inną książkę i daje mi do ręki. Zaśmialiśmy się w jednym momencie. W tym samym dniu wpadliśmy na ten sam pomysł. Dobrze, że chociaż książki inne. Mnie dostała się książka z wierszykami "350 uniesień duszy" i z opowiadaniem "Krok za krokiem". Obiecałem, że przeczytam. Wspaniale jest dawać. Wspaniale jest brać. Trudno powiedzieć co lepsze. Może to, co wywołuje większy uśmiech. Nie chce mi się dłużej siedzieć na kubku. Pytam Młodość czy pójdzie ze mną coś zjeść do baru mlecznego. Czy ma ochotę coś przegryźć. Młodość kiwnął głową. No to idziemy. Ja biorę krem z dyni z grzankami czosnkowymi. Młodość wybrał żeberka. Młody jest, to mu służą, pomyślałem. Siedzimy. Jemy. Rozmawiamy. To o tym. To o tamtym. Nagle Młodość zadaje pytanie. A może to prośba. W każdym razie w swoim stylu. Opowiedz mi o sławie. Pod warunkiem, że spróbujesz moich grzanek. Zaśmiałem się. Oddał mi. Śmiechem. Spróbował grzanki i mówi, że powinny być sławne. Śmiech. Bo widzisz, z tą sławą tak to już jest. Niektórzy dla niej mordują. Inni wywołują wojny. Palą wsie. Są też tacy, którzy dla sławy pomagają. Ubogim, zwierzętom, bez różnicy. Byleby o Tobie mówili. Byleby pokazywali palcami i powtarzali, to on. To ten. Sława odczuwacza. Sława zagłusza sumienie. A być głuchym na sumienie to pakować się w cierpienie. Bo sławę kupuje się z bólem w pakiecie. Bólem serca. Poczuciem pustki i nijakości. Pustkę starasz się zapychać coraz to większą ilością sławy. Aż skaczesz. Z mostu. Albo skaczesz. Na drugiego człowieka. Niszcząc go i krzywdząc. Sława bowiem kumuluje w człowieku emocje.

Niezdrowe. Trzeba je jakoś wyładować. Wyrzucić z siebie. Dlatego współczuje na równi. Sławnym ludziom i tym, którzy muszą z nimi żyć. Pragnienie sławy to pragnienie cierpienia. Ni mniej, ni więcej.

Chłopiec powiedział, że wróci tu kiedyś na te sławne czosnkowe grzanki. Poklepałem go po ramieniu i rozeszliśmy się. Każdy wiedział gdzie ma iść. Ja wróciłem na legowisko. Chłopaki robili już flaszkę. Podobno Zet uczył Stefcia zawijać towar z półek. Tylko żeby młody do habilitacji nie doszedł, bo w głowie mu się od tych umiejętności przewraca. Mówię. Nikt nie rozumiał o co mi chodziło. Chyba. Pomagam im z tą butelczyną. Do wódeczki mamy bakalie o których wczoraj zapomniałem. Wyjąłem i są. Nie każdego stać, żeby wódkę zagryzać bakaliami. Po skończonym 0.7, chłopaki wyciągają kolejny flakon. Na mnie to za dużo. Kładę się. Przykrywam kocem po same uszy i zasypiam.

## 18 GRUDNIA

Nie mogłem dziś spać w nocy. Chyba przez zimno. A jak już zasnąłem to miałem dziwny sen. Hodowałem kury. I przyszedł do mnie pewien facet. Z workiem paszy. Mówi, żeby mi sprzedał jaja. Mówi, że da mi jeden worek paszy za jedno jajko. Nie zgodziłem się. Karmiłem kury tym co sam jadłem. One karmiły mnie jajkami. Wstałem. Z myślą, że zjadłbym jajecznicę. Ale nie ma tak dobrze. Na jajecznicę trzeba sobie zapracować. Wysiedzieć swoje, jak jajko, na kubku. Pogadałem chwilę z Zetem o tym, o czym rozmawiają bezdomni z rana. Czyli o rozkoszach dnia codziennego. I poszedłem na śmietniki. Dziś obchód przedpołudniowy. Na blokach. Tylko jeden był otwarty. Ale za to jaki. Przez długi czas nijaki, by po chwili podzielić się tym co ma najlepsze. Znalazłem radio samochodowe. Takiego znaleziska dawno nie było. Oby sprawne. Zaniósłem do lombardu. Okazało się, że działa. Dostałem za nie 40 złotych. Pokazałem im też toster i słuchawki. Za słuchawki dołożyli mi dychę. Toster kazali wyrzucić. Nie działa. Więc wyrzuciłem. Zadowolony poszedłem na jajecznicę. Do baru. Na śniadanie. Jak panisko. Jajecznicę na kiełbasie. Z chlebem. Za siódmką. Pytam kobiety, czy jajka z chowu klatkowego, czy z wolnego wybiegu. Odpowiedziała, że to szczęśliwe jajka od szczęśliwych kur. Zaśmiałem się. Czyli od takich, którym nikt nie zabronił marzyć, zapytałem retorycznie. Nie ma jak rozmowa o kurach. Na kubku ludzie byli mniej rozmowni. Przechodzili tylko. Goniąc za swoimi sprawami. Goniąc za szczęściem. Lub zastanawiając się nad nieszczęściem. To twarzy widać co kto i po co. Zazwyczaj. Jest w okolicach zera. Śniadanie szybko się zwróciło. Zbieram dalej. Ktoś wrzucił piątkę. Inny dwójkę. W pewnym momencie podeszła mama z około 3-letnim dzieckiem. Dała mu pieniążka do ręki i mówi, żeby wrzuciło do kubeczka. Dziecko podeszło, wrzuciło monetę, uśmiechnęło się i mówi. Dam panu mój czerwony szaliczek. Bo panu jest zimno. A ja mam drugi w domu. Zaśmiałem się i pogłaskałem dzieciaczka po głowie. Nie trzeba, odpowiadam. Wracaj do mamy. I przytul się do niej. Od Twojego tulenia się z mamą robi mi się cieplej. Na sercu. Dziecko pobiegło i przytuliło się do mamy. Ja się uśmiechnąłem. Po godzinie z okładem widzę mojego kumpla. Idzie dumny i zadowolony. Co tak siedzisz, jakbyś domu nie miał, mówi do mnie. Śmiejemy się na całego. Opowiada mi że dzwoniła do niego mama. Pies zachorował. Ma biegunkę. Musi wracać i iść z nim do weterynarza. Ale jeszcze kanapkę zjemy i kilka zdań zamienimy. Zdążymy, mówi, rozdzielając kanapkę na pół. Z szynką, pomidorem i majonezem. Coś wspaniałego. Jedząc chłopiec pyta w swoim stylu. Powiedz mi coś o seksie. Więc mówię. W dzisiejszych czasach robi się z seksu boga. Komuś jest na rękę, żeby wokół seksu kręciło się życie człowieka. Żebyś o niczym innym nie myślał. Żebyś w ogóle

nie myślał tylko żył pragnieniami, podnieceniami i głodami. Tu pornografia. Tam rozwiązłość. Jeszcze gdzie indziej moda na dewiacje. Bądź sobą krzyczą z każdej strony. I rób to co inni. Nic co ludzkie nie powinno być Ci obce. Tylko że seks dla sportu, dla zabawy nie jest ludzki. To zezwierzęcenie. Seks jest ważny. Gdy masz żonę. Gdy chcecie mieć dzieci. Dla związku. Dla Was. Seks jest nie ważny. Gdy chcesz. Bawić się i jesz. Wszystko co kładą Ci na stole. Bez opamiętania i bez granic. Bo jest. Bo można. Nikt nie ma prawa zakazywać. Wiem co dla mnie dobre. Skoro wiesz, to jesz. I dławisz się tym niezdrowym jedzeniem. Albo masz po nim wzdęcia. W najlepszym razie. Takie życie. Taki seks. Ogłupia.

Chłopak powiedział, że faktycznie ten seks jest w dzisiejszych czasach widoczny wszędzie. Nawet na reklamach kobiety wyginają się namiętnie, żeby kusić i zachęcić do kupna prezerwatywy. Bo seks to biznes. Nie mały, odpowiedziałem. Dobra idę, powiedział Młodość. Dzięki za rozmowę i widzimy się o 18:30. Przy pałacu. Spektakl zaczyna się o 19. Nie zapomnij. Nie zapomnę, odpowiedziałem. I poszedł. Ja posiedziałem jeszcze z godzinę na kubku i wróciłem na legowisko. Z sześciopakami. Podzieliłem się z chłopakami. Sam wypłem dwa. Gadu-gadu. O tym jak niektórym się żyje. Że wyjeżdżają co roku do ciepłych krajów. Że życie im daje i niewiele oczekuje. A mnie się wydaje, mówię, że nie ma znaczenia ile zer masz na koncie bankowym. Ważne, czy dobrze się człowiek czuje. Sam ze sobą.

Przebrałem się w wyjściowy ciuch i pod pałac. Młodość już czekał. Pytam jak z psem. Mówi, że dostał tabletki na poprawę flory bakteryjnej. Antybiotyk. I zastrzyk. Ma wystarczyć. Poszliśmy na spektakl. Sztukę teatralną. Aktorzy taplali się w błocie. Obrzucali się nim. Tonęli. Dławili się. Smarowali. Aktorki świeciły cyckami. Siedzimy w pierwszym rzędzie. Nigdy bym nie pomyślał, że z teatru wyjdę z błotem na ciuchach. Ciekawe doświadczenie, które czegoś mnie nauczyło. Prawdziwą sztuką jest życie. A nie obrzucanie się błotem za pieniądze. Prawdziwy artysta to artysta miłości. A nie ktoś kto maluje obraz za obrazem, bo musi zapłacić ratę za nowy samochód. Rozstałem się z Młodością w dobrym nastroju. Przyjemnie wyjść z kimś na miasto. Spędzić razem czas. Tak.

Wróciłem na nocleg. Chłopaki dalej piwkowali. Byli w całodobowym. Nie wiem czy płacili. Wypłem jeszcze dwa piwa i opowiedziałem im co widziałem. Nie mogli uwierzyć, że płaci się pieniądze za to, żeby oglądać ludzi obrzucających się błotem.

## 19 GRUDNIA

Dziś mi się lepiej spało. Lepiej niż gorzej. Czyli nie najgorzej. Obudził mnie Zet. Tłukł butelką o butelkę i zapytał. Czy zamawiał jaśniepan piwo do łóżka. Żartowniś. Chociaż nie pogardziłem. Propozycją. Zachęcił do rozmowy to rozmawiamy. Zet mówi o jakimś dziwnym numerze. Ludziska kupują numery telefoniczne na kartę. Na dowód bezdomnego. Że niby to karta dla bezdomnego, a później oddają ją cwaniakowi za flaszeczkę. Sposób na dorobienie jak każdy. Tylko zastanawiam się co później z tymi numerami cwaniaki robią. Nic dobrego, mówi Zet. Z pewnością, przyznaje mu rację.

Dziś idę pilnować samochody na miejscach postojowych przy pałacu. Po drodze mijam koksowniki. Ustawili. Brawo. Ogrzewam się. Chwilę. I idę dalej. Na miejscach parkingowych ruch jak w ulu. Drobniaki dzwonią w kieszeni. Widać, że coraz więcej ludzi się kręci. Chodzą do pobliskiej galerii. Robią zakupy. Prezenty na święta. Niektórzy nawet biorą podobno kredyty, żeby obkupić się na święta. To wyjątkowy czas. Dla tych którzy żyją z handlu. I dla tych którzy chcą się pokazać. Ze strony. Tylko czy najlepszej. Na pewno najdroższej. Trzy i pół godziny na

miejscach postojowych. To teraz jeszcze godzinka na dobiecie. Kubek. Może przyjdzie Młodość. I poszedłem. I posiedziałem. I przyszedł. Ale zanim przyszedł dostałem od jednego z przechodniów pięć dyszek. Święto lasu. Postanowiłem, że nie przepiję takiej okazji. Zrobię coś dla chłopaka. Zrobię coś dla siebie. Kupię bilety od kina. Przyszedł Młodość. Jak zwykle. Niezawodny jak mój zegarek z białą tarczą i czerwonym sekundnikiem. Kanapka na pół. Z boczkiem i musztardą. Sarepską. Jemy i idziemy do kina. Pytam co z psem. Chłopak mówi, że już dobrze. Leki pomogły. To dobrze jak dobrze, odpowiadam. Po chwili chłopak mówi. Pyta. Jak to on. Opowiedz mi o współczuciu. Opowiadam. Współczuć trzeba nie tylko biednym, głodnym i chorym. Ale także samemu sobie. Nie pokochasz samego siebie, jeśli sobie nie współczujesz. Nie zrozumiesz samego siebie, jeśli nie ma w Tobie współczucia. Współczucie rodzi się z miłości. Dla miłości. Współczucie żyje. Trzeba go dokarmiać. Trzeba się nim dzielić. Dbać o nie i pilnować by rosło. By trwało. I by nie odeszło od nas w siną dal. Współczucie ma w sobie coś wyjątkowego. Z jego dodatkiem ludzie stają się bardziej ludzcy. Błędy drugiego świadczą o słabości człowieka. O jego omylności. A nie o jego winie. Nie prowadzą do negatywnej oceny. Współczucie nie ocenia. Współczucie tuli do siebie każdego. W nikim nie widzi nic złego. Współczuć znaczy wierzyć. W miłość. W Boga. W życie. Że warto. A nie że trzeba.

Weszliśmy do kina. Sprawdzamy repertuar. Wybór. Zdecydowaliśmy się na jakiś film o maszyniście. Podobno komedia. Podobno śmieszna. Seans jutro o 17. Płacę i wychodzimy. Chłopak cieszy się z prezentu. Nazywa mnie równym gościem. I jestem gościem. W gościach. Na Ziemi. Chwilę. Ugości mnie i skończy się bal. Któregoś dnia. Każdy jest takim gościem. Bez biletu. Z przypadku. Lub z przeznaczenia. Ku chwale istnienia.

Pytam chłopaka, czy zje ze mną kebaba. On mówi, że wraca do domu. Mama z obiadem czeka. Podajemy sobie ręce. Uśmiechamy się na pożegnanie. I idziemy. Młodość na przystanek. Ja na kebaba. Baranina, łagodna, na cienkim. Odbieram i jem. Do Turka przyszła dziewczyna. Z dzieckiem. W ciąży. Ucałował ją. Nakarmił. Dał pieniądze na taksówkę. Widać, że różnice kulturowe nie dla każdego są problemem. Kultury się przenikają. Szacunek do drugiego człowieka i dbanie o rodzinę nie ma narodowości, flagi i hymnu. Śpiewa swój własny hymn. Myślę, wstąpię po flaszczkę. Albo nie. Dziś nie kupię. Dziś nie piję. Idę jeszcze na śmietniki. Koło kebaba i koło burgerowni. W pierwszym nic ciekawego nie było. W drugim znalazłem „Rozmyślania” Marka Aureliusza. I parówki. Jeden nie szanuje mądrości. Inny nie szanuje jedzenia. Wróciłem na legowisko. Miałem nie pić, ale chłopaki mnie przekonali. Posiedziałem z nimi chwilę. Później czytałem na zmianę. "350 uniesień duszy" i „Rozmyślania”. Trochę jednego. Trochę drugiego. Teraz piszę i zaraz idę spać.

## 20 GRUDNIA

Dzisiejsza noc była konkretna. Zimno ścinało krew. Zet mówi, że kolejna noc ma być jeszcze gorsza. Minus 10, minus 12 zapowiadają. Mówię, że trzeba pomyśleć, czy nie przespać się jedną noc w noclegowni. Pomyślimy, odpowiada Zet. Albo niech Ci będzie. Ale skoro tak to teraz coś tykniemy bo wieczorem się nie da. Wyciągnął wino. Nie wiem skąd miał. Wypiliśmy umilając sobie czas rozmową. Albo rozmowę winem. Rozmawiamy o kobietach. Czy lepiej z nimi, czy bez. Zet mówi, że kobieta to worek bez dna. Ile byś nie zarobił, wyda wszystko. Co byś nie powiedział. Ona wie lepiej. Ja dodałem, co byś nie pomyślał, ona już o tym pomyślała. Kobiety mają swoje przecucie. Intuicję. Trzeba przy nich uważać co się myśli. Pośmialiśmy się.

Zjedliśmy parówki na zimno i rozeszliśmy się. Każdy poszedł w swoją stronę. Ja na kubek. Przed świętami ludzie dają więcej. Jakby czuli obowiązek bycia dobrym. Przez te kilka dni w roku. W okolicy świąt. Ktoś, kto jest niemiły w święta, nie może być dobrym człowiekiem. Tak myślą niektórzy. Ale tyczy się to tylko Świąt Bożego Narodzenia. Innych nie. Inne to co innego. Więc wrzucają do kubeczka aż miło patrzeć. Aż miło się siedzi. Pomimo zimna. Zrobiłem sobie chwilę przerwy, żeby ogrzać się przy koksowniku. I powrót. Siedzę dalej. W pewnym momencie podeszli do mnie harcerze. Młodzi. Chłopak i dziewczynka. Poczęstowali mnie ciepłą herbatą i kanapką. Byli mili. Pytali w czym mogą pomóc. Co potrzebuję. Zuchy. Kolejna godzina. I jeszcze jedna. Młodość. Trudno go pomylić z kimś innym. Z daleka zwraca uwagę. Może tylko moją. Kto wie. Kanapka z tuńczykiem na pół i rozmawiamy. Co tam. Jak tam. Mówi, że jego mama znalazła nową pracę. Na niższym stanowisku. Teraz sprzęta w biurze. Ale nie narzeka. Cieszy się, że w ogóle jest praca. Że nie siedzi z założonymi rękami. Że może coś robić. Odpowiadam, że się cieszę. Bo się cieszę. Młodość pyta czy kawa. Odpowiadam, że już na nas czeka. Więc nie pozwalamy jej na siebie czekać. Siadamy przy stoliku koło okna. Lubię zerkać na przechodniów. Z innej perspektywy niż ta chodnikowa. Chłopak pyta gdzie będę dziś spał, bo ma być bardzo zimno. Mówi, że zaprasza do siebie. Nie mają wolnego łóżka, ale coś się wykombinuje. Jakoś się pomieścimy. Dziękuję. Nie spodziewałem się takiej propozycji. Ale noclegownia wystarczy. Dziękuję raz jeszcze. Chłopak w swoim stylu pyta. Prosi. Opowiedz o młodości. Mówię. Młodość to świeżość. Młodość to sens. Świeżość sama w sobie jest sensem. Chcesz żyć, bo życie Cię cieszy. Bo jesteś otwarty. Bo jesteś chłonny. Karmisz się życiem. Chwila jest twoją partnerką. Jest z Tobą na każdym kroku. Wszystko co robisz, robisz na 100%. Nie zastanawiasz się nad tym co będzie jutro. Nie planujesz. Młodość żyje chwilą. Z chwilą. Młodość kocha. Bo inaczej nie umie. Dopiero gdy zaczynasz planować. Liczyć co się opłaca. Martwić się tym i owym. Dorastamy. Dorosłość to strata. To zostawienie młodości przywiązanej do drzewa. By zdechła z głodu. Dorosłość to gra. Wymyślona przez społeczeństwo zabawa. Wszyscy w nią grają. Wszyscy przegrywają. Nie pytaj mnie po co i dlaczego. Wiem jedno. Młodość nie udaje. Młodość nie zakłada masek. Młodość żyje. I nie musisz z niej rezygnować. Możesz ją zachować. Może być Ci bliska. Lub bliski. W zależności z której jesz miski.

Chłopak podziękował. Mówi, że ktoś powinien spisywać te moje wywody. Odpowiadam, że sam trochę piszę. Dla zabicia czasu. Opisuję co mnie spotyka i co mówię. Pyta, czy dam mu kiedyś poczytać. Mówię, że zobaczymy. Mówię, że szkoda czasu. Bo to nic wielkiego. Nalega. Więc podaję mu zeszyt. Wyciągam z plecaka. Czyta ponad godzinę. I chwali. Mówi, że mam styl. Że dobrze się czyta. Że ktoś kiedyś z tego film zrobi. Śmieję się i mówię, że ma wyobraźnię większą od poczucia humoru. Młodość odpowiada, że chodzą w parze. Wyobraźnia i humor. I dobrze, przynajmniej się nie nudzą, dodaję na zakończenie.

Idziemy na film. Oglądamy. Nie zasypiamy. Film to serbska komedia o maszyniście, który idzie na rekord w liczbie przejechanych osób. Ludzie giną pod kołami pociągu. Wartka akcja. Jest z czego się pośmiać. Jeśli się ktoś lubi śmiać. Z tego z czego inny płacze. Rozstajemy się w dobrych nastrojach. Przybijamy sobie piątkę. Było fajnie. Pa.

Wracam na legowisko. Zet już przygotowany do drogi. Pytam wąsatego Władka i Stefcia czy idą z nami do noclegowni. Mówią, że nie. Że zostają. Bo są pijani. Trudno. Idziemy sami. W noclegowni tłok. Przyszliśmy zbyt późno. Nie ma wolnych łóżek, ale pozwalają nam



zostać. Śpimy na podłodze. Przykryci kocami. Ja czytam jeszcze przed snem. Chwilę. Nie długo. Bo gaszą światła. Trzeba spać. Trzeba żyć.

## 21 GRUDNIA

Budzę się z bólem zęba. Znam ten ból. Nie przejdzie. Sam od siebie nie odejdzie. Więc idę do mnichów. Na jadłodajnię. Obok noclegowni. Proszę o pomoc. O ratunek. Jeden z mnichów zapisuje na kartce adres. Zgłoś się tam. Powiedz, że Cię przysyłamy. To dentysta, który leczy zęby mnichom i bezdomnym za darmo. Skoro już byłem na jadłodajni to zjadłem śniadanie. Zupę mleczną z makaronem. I poszedłem pod wskazany adres. Miły dentysta powiedział, że mnie przyjmie, ale nie dziś. Dziś nie ma wolnych terminów. Jego asystentka zapisała mnie na 23 grudnia. Podziękowałem i wyszedłem. Spotkałem Zeta. Wróciliśmy na swój rewir. Wypiliśmy małą flaszczkę na spółę. I do roboty. Zet poszedł zaczepiać ludzi, a ja na kubek. Dwie godzinki. I przerwa przy koksowniku, aby złapać temperaturę. Kolejne dwie godzinki i kolejna przerwa przy koksowniku. Gdyby ludzie zawsze tyle dawali co przed świętami. Gdyby ludzie byli tacy jak Młodość, świat byłby piękny. Chociaż piękny jest. Tylko ludzie wredni. Niektórzy. Ale nie Młodość. Myślę o nim widząc jak się zbliża. Witamy się uściskiem. Pytam, czy nie przyśnił mu się pociąg. Ani nie kierowałem pociągiem, ani nie kładłem się na tory, odpowiada. Śniło mi się, że płyniemy łódką. Po stawie. Że łódka zaczyna tonąć. Nie nadążamy wylewać wody. Więc wskoczyłeś do wody i płynąłeś popychając łódkę. Żeby szybciej znaleźć się na brzegu. Ja wiosłowałem, Ty popychałeś i udało się. Dopłyneliśmy. Przed zatonięciem. Mówię, że za dużo czasu ze mną spędza. Że siada mu już psychika. Śmiech. Chłopak chwali się też wierszem, który napisał na język polski. Dostał za niego wysoką ocenę.

Polska to nie hymn i flaga  
Polska to katyńska zagłada

Polska to nie kibice i krzyki  
Polska to odgłos motyki

Rolnika co w polu pracuje  
Któremu inteligent rozumu ujmuje

Polska to bezdomny proszący o drobne  
A nie ubrania w galeriach modne

Polska to miłość do tego  
Tu teraz

Polska to wdzięczność  
O której zapominamy nieraz

Wdzięczność za wolność  
Wdzięczność za kraj

Wywalczony, krwią okupiony  
O czym przypomina nam 3-ci maj

Mówię, że ma talent. Wiersz piękny. Ćwicz, pisz, nie zmarnuj. Sam siebie. I tego co w Tobie drzemie. Po chwili Młodość mówi. Prosi. Opowiedz o starości. Ależ proszę. Starość to mądrość. Lub oczekiwanie na śmierć. Starość to zmarszczki na twarzy. Lub zmarszczki na twarzy i duszy. Ciało starzeje się to pewne. Ale dusza nie musi. To od nas zależy czy chce się jej żyć. Dusza ciałem porusza. Ciało duszę przymusza. To tego lub owego. Nie wybieraj tego złego. Pozwól duszy oddychać. Pozwól duszy swej żyć. Nie wmawiaj jej, że umrze wraz z ciałem. Nie wmawiaj jej, że tylko z nią kłopoty. Dusza to szansa na loty. Wysokie. Na radość z szybowania. I niczym się nie przejmowania. Bo po co martwić się starością, gdy życie jest po życiu. Prawdziwe. Nie doprawione złością. W niebie nie ma starych ludzi. W niebie nikt nie marudzi. Że zmarszczki. Że szczyka. Że biodro już nie to co kiedyś. W niebie dusze szczęśliwe. Lat nie liczą. Liczą zaś uśmiechy. Liczą na Boga, który nie daje im poznać czym jest trwoga.

Powinieneś pielęgnować swój talent, mówi chłopak. Ty też masz talent. Pięknie mówisz. Pielęgnuję, odpowiedziałem. Podczas rozmów z Tobą. To dzięki Tobie mówię tak jak mówię. Mówi się tak jak słuchacz pozwala. Tak, żeby mowa była mu bliska. A nie obca. Ty masz piękną duszę, więc karmię ją pięknymi słowami. Na ile potrafię. Na ile daję rady.

Na koniec dostaję całą kanapkę. Zawiniętą w sreberko. Chłopak mówi, że nie jest głodny i życzy smacznego. Chowam do plecaka. Rozstajemy się. Śmiejemy ja z niego. On ze mnie. W sumie nie wiem dlaczego. Tak po prostu. Siedzę dalej na kubku. Zrobiło się ciemno. A ja siedzę. Ludzie wrzucają. Jest dobrze. W pewnym momencie podeszła do mnie jakaś babcia. Babinka. O lasce. Mówi, że przypominam jej syna. Mówi, że nagotowała obiadu. Że jest sama i że mnie nakarmi jeśli chce. To poszedłem. Zebrałem swoje rzeczy i idziemy. Trzyma mnie pod rękę. Krok za krokiem. Mieszka niedaleko. W bloku. Na pierwszym piętrze. Mieszkanie pamięta stare czasy. Widać, że od lat nic nie zmieniała. Poczęstowała mnie zupą grzybową z suszonych grzybów na pierwsze. I pierogami ruskimi na drugie danie. Opowiadała. Dużo. O młodości i o wojnie. O tym jak pracowała jako pielęgniarka w czasie wojny. Przeżyła powstanie. Konspirację. AK. Później siedziała 4 lata w więzieniu. Komuniści nie lubili tych, którzy marzyli o wolnej Polsce. I tak przeżyła swoje życie. Jej mąż nie był gorszy. Był majorem. Ludzie go szanowali. Walczyli za niego. Bo to tak jest, że się mówi, że się umiera za ojczyznę. A to nie prawda, mówi babcia. Umiera się za kolegę obok. Za dowódcę. Za batalion. Człowiek dla człowieka. Ojczyzna to wielkie słowa. Człowiek. To dla niego się żyje i umiera. Gdy ośłania Cię, Ty biegniesz po ciało zabitego kolegi. Gdy pod ostrzałem przedzieras się kilkaset metrów, po apteczkę, żeby pomóc rannemu. Teraz mamy pokój. Ale pokój nie jest dany na zawsze. Jeszcze kiedyś za nim zatęsknimy. Obym nie miała racji. Oby już nigdy nie trzeba było walczyć o wolną Polskę. Ale historia uczy, że może być różnie. Tak jak różnie było do tej pory. Pytam kiedy umarł mąż. Przeszło dwadzieścia lat temu, odpowiada babinka. Nawet dwadzieścia pięć. Porozmawialiśmy jeszcze chwile. Powiedziałem, że jeśli chce mogę jej robić zakupy. Chodzić z siatkami. Nawet codziennie, jeśli będzie potrzebować. Odpowiedziała, że nie. Źle jej się chodzi. Ma problemy z nogami, ale chodzenie to najlepsze co może robić. Dzięki wychodzeniu do sklepu ma jakąś rozrywkę. Lubi ruch. Lubi spotkać sąsiadkę po drodze. Siedząc w domu i nic nie robiąc zaprasza się śmierć. A mnie się do niej nie śpieszy. Jeszcze mam czas. Mówi. Jeszcze mąż musi poczekać. Potęsknić. Za swoją Anusią. Jak się tęskni to później większa radość ze spotkania.

Pani to dopiero pięknie mówi. Pani to dopiero ma piękną duszę. Nie to co ja. Ucałowałem babinkę w rękę. Podziękowałem i wyszedłem. Wróciłem na legowisko, ale nie

miałem ochoty na picie z chłopakami. Powiedziałem, że ząb mnie boli. Poczytam i spać. Bo faktycznie boli. I faktycznie poczytałem i poszedłem spać.

## 22 GRUDNIA

Dziś znowu zimno. Pewnie poniżej zera. Powinno się niedługo ocieplić bo słońce świeci. Czuje że zaczynam puchnąć. Już widać ból na twarzy. Zaokrąglił się. Na śniadanie bułka, którą dostałem wczoraj od chłopaka. Dzielę ją na pół i dzielę się z Zetem. Rozmawiamy. O ochronie środowiska. Zet mówi, że planeta umiera. Że trzeba o nią dbać. Przyznaję mu rację. Ale dodaję, że ludziom miesza się od tego w głowie. Stawiają środowisko wyżej od życia ludzkiego. Od dobra człowieka. A tak być nie powinno. Kończę pytaniem. To Ziemia powinna być dla człowieka. Czy człowiek powinien być dla Ziemi. Pytam. Nie błędzę.

Dobre dwie godziny włóczę się po mieście. Bez celu. Myślę. Znowu depresyjna piosenka w mojej głowie. Znam melodię. Znam tekst. Gra. Ja nie chce śpiewać. Odmawiam. Mam ją gdzieś. Chociaż gra nadal. Ogrzewam się przy koksowniku. Idę na kubek. Siedzę godzinę i wysiedzieć nie mogę. Ciągle ta piosenka. Poszedłem napić się herbaty. Wróciłem na kubek. Siedzę dalej. Nagle słysząc krzyki. I jakieś przepychanki. Przekleństwa i kopniaki. Dwóch uczniów. Młodych. Nie potrafiło się dogadać. Nie chciało. Woleli pięściami udowodniać swoją wyższość. I próbowali. Podszedłem i rozdzieliłem ich. Przytrzymałem jednego śmiałka. Tak długo, jak było trzeba. Emocje opadły. Chłopak się uspokoił. Drugi odszedł. Spokój. Wróciłem na karton. Posiedziałem dobrą godzinę i przerwa na koksownik. I znowu na kubek. Chwila. Druga. By po chwili. Kolejnej. Zobaczyć Młodość. Przyszedł. Ciekawe kiedy mu się znudzę, myślę. Wita się hasłem, bezdomny na prezydenta. Uśmiełem się i pytam skąd mu to przyszło do głowy. Bo mówisz piękniej niż Ci wszyscy politycy, odpowiedział. Bo mówisz bez złości. Bo mówisz językiem miłości. Może czasami, coś mądrego powiem, ale zazwyczaj to bełkot kloszarda, odpowiadam. Chłopak skwitował to uśmiechem. Wyciąga kanapkę. Dzieli się połową. Mówi, że to z prawdziwą wiejską kiełbasą. Przywieziona od babci ze wsi. Faktycznie smakuje. Wędzona. Na prawdziwym dymie a nie kolorowana barwnikami, jak ta w sklepie. Nie skończyliśmy jeść, a już pytanie urodziło się w głowie chłopca. I mówi. Opowiedz o ciszy. Proszę. Nie pozwoliłem mu dwa razy prosić. Powiedziałem. Cisza. Mieszka w niej Bóg. Dzieli pokój z aniołami. W pokoju obok mieszkają święci. A na klatce schodowej bezdomnych co nie miara. Bóg pilnuje ciszy. Pilnuje by nie zgasła. Podkłada do ogniska. Ciszą. By trwała. Cisza. Znika cisza. Znika Bóg. Pojawia się JA. Pojawia się ego. Wtedy nie ma Boga. Jest coś złego. Cisza jest nieśmiała. Nie narzuca się. Nie prosi, żebyś z nią posiedział. Żebyś jej opowiedział co u ciebie słyszą. Cisza czeka. Na Ciebie. Aż będziesz gotowy. Żeby z nią porozmawiać. Żeby jej postuchać. Żeby ogrzać się w ciepłe Boga. Który żyje w ciszy. Nie próbuj go usłyszeć. Nie staraj się go przywołać. Na siłę. Na chwałę ego. Puść. Porzuć. To co jest. Żeby zostało tylko to czego nie ma. Żebyś został sam na sam. Z ciszą. A poznacie się i przejdziecie na Ty. Polubisz ją. Ona polubi Ciebie. I poczujesz jak jest w niebie.

Chłopak powiedział że mam rację. Odpowiedziałem, że tu nie chodzi o rację. Ludzie chcą mieć rację. Być na górze. Być panem sytuacji. To nie tak. Ważne jest co innego. Trzeba słuchać głosu w Tobie powstałego. Pod warunkiem, że mówi dobrze a nie kusi do złego. Chłopiec próbuje mnie przekonać, abyśmy razem pojeździli na łyżwach. Jest lodowisko na rynku, mówi. Nie dam się przekonać. Na jazdę. Bo popatrzeć zawsze można. Poszliśmy. Z bezpiecznej odległości patrzyłem jak Młodość kręci piruety na lodzie. W drodze powrotnej

zobaczyliśmy uliczny teatr lalek. Zatrzymaliśmy się i oglądamy. Historia niespełnionej miłości. Pięknie pokazana. Pięknie zagrana. Rzuciłem monetę artyście. Żeby miał, tak jak ja mam. Idziemy dalej. Pytam Młodość czy pójdzie ze mną do baru mlecznego. Mówi, że obiad ma w domu. Że dwóm nie podoba. Odprowadzam go więc na przystanek. Żegnaj się i idę coś zjeść. Biorę dwa krokiety z kapustą za czternaście. Jestem w połowie pierwszego, gdy do baru wchodzi bezdomny. I prosi o jedzenie. Mówi, że nie ma pieniędzy. Jest pijany. Kobieta go wyprasza. Mówi, że to nie jadłodajnia dla ubogich. Tu się płaci. Poprosiłem o dodatkowy talerz. Wziąłem widelec i zaprosiłem bezdomnego do stolika. Dałem mu jednego krokieta, widelec i jemy. Mówi, że ma na imię Jan. Że jest z innego miasta. Przyjechał tu na chwilę. Planuje jechać za granicę. Tylko musi uzbierać na bilet. Dałem mu piątaka. Jako dobrą monetę. Niech się mnożny. Życzę Ci, żebyś trafił tam gdzie się wybierasz. Podaliśmy sobie ręce i rozeszliśmy się. Było w nim coś dziwnego. Smutek. Bez woli życia. Wielu ulica przytłacza. Wielu nie potrafi sobie z nią poradzić. Cóż.

Kupiłem 4 piwa i wróciłem na legowisko. Wieczorem ból zęba był większy. Dałem chłopakom browary. Sam nie piłem. Słuchałem tylko opowieści Zeta. Mówił, że złapali Stefcia jak ściągał towary z półek i chował po kieszeniach. Zgarneli go psiarskie i siedzi dwa cztery, albo dłużej. Pewnie dostanie jakieś zamiatanie ulicy, albo inne coś. Nie wiadomo. Szkoda mi chłopaka. Młody. Ma dar pakowania się w kłopoty. Niektórzy już tak mają. Dopóki się nie obudzą. Idę opisać dzień i poczytać „Krok za krokiem” i „Rozmyślania”. Na zmianę.

## 23 GRUDNIA

Co za noc. Z bólu nie mogłem spać. Dobrze, że nie było zimno, tak jak ostatnio. Dziś jest lepiej niż ostatnio. Aż zanadto. Powyżej zera. Idę po bułki. Do bułek kupuję konfiturę. Truskawkową. Jemy we trzech. Z wąsatym Władkiem. Zet pyta jakie samochody mi się podobają. Mówię, że osobowe. Dopytuje. Jaka marka, jaki model. Odpowiadam, że taki który się nie psuje i nie trzeba zmieniać opon. Nie zrozumiał żartu. Ja się jeszcze śmieje. Tylko ten cholerny ząb. Kto wymyślił ból zęba. Komu to na rękę. Sprowadzać na człowieka udrękę. Diabeł się musi cieszyć jak boli. Cierpienie jest mu bliskie. Ale na wszystko jest sposób. Na ząb. I na diabła też. Idę pogmerać w śmietnikach. Koło supermarketu znajduję orzechy po terminie. I pomarańcze. Koło spożywczaka jest ser pleśniowy, nie biorę. I szynka pakowana próżniowo. Na to się skusiłem. Pakuję co jest do plecaka i idę do dentysty. Mam wizytę na 11. Wyrwa mi górną czwórkę. Chwila bólu i po bólu. Klin klinem. Dentysta proponuje protezkę, żeby zastąpić zęba, a ja mam to gdzieś. Nie ma to nie ma. Może wezmę go na litość i odrośnie. Idę na kubek. Po drodze znalazłem ulotkę. Na chodniku. Podniosłem. Czytam. Kabaret o krok od śmierci. Dziś wieczorem. Tylko dla odważnych. Myślę. Moje życie to kabaret. Drugiego mi nie potrzeba. Idę dalej. Z przystankiem koło koksownika. Jakiejś dziewczynie wypadł telefon. Podnoszę, przyspieszam, zatrzymuję dziewczę i podaję telefon. Dziwnie na mnie patrzy. Z niedowierzaniem. Ale dziękuje. Po chwili. Po kubku widać, że coraz bliżej święta. Dobrze mu z tym. Dzwoni i szeleści. Muzyka dla uszu. Na kartonie niewiele się zmienia. Myśli. Dobrze, że karton nie myśli. Kartonowi wszystko jedno. Dziewczynie odkleił się obcas. Czy złamał. Nie wiem. Nie znam się na obcasach. Odpadł w każdym razie. Gdy odpada kobiecie obcas, gdzieś na świecie motylek pada trupem. Albo i nie. Pokazuje jej gdzie jest szewc. Trudno mi opisać drogę, więc wstaję. Zbieram swoje rzeczy i idę z nią. Zaprowadziłem ją do szewca. Chciała mi zapłacić za pomoc. Odpowiedziałem, że wystarczy dziękuję. Podziękowała. To rozumiem.

Wracam na kubek. Godzina. I kolejna. Przychodzi Młodość. Dziś ma humor taki sobie. Pytam co się stało. Mówi, że problemy z dziewczyną. Że chciałby a się nie da. Miał nadzieję a tu masz. Powiesiła się na suchej gałęzi. Nadzieja. Bez ducha. Sama skóra i kości po niej zostały. Mówię, żeby się nie smucił. Że nie ma jak bezdomność. Nic tak nie odstrasza kobiet. Śmiejemy się. Dopóki masz gdzie mieszkać, masz szansę, że jakaś będzie Tobą zainteresowana, kończę. Chłopiec pyta jak podoba mi się książka, którą mi sprawił. Odpowiadam. Wierszyki jak wierszyki. Ale opowiadanie było ciekawe. Muszę przyznać. To przeczytaj jeszcze raz. Wierszyki. Mówi chłopak. Może nie weszły za pierwszym razem. To wejdą za drugim. Łamie chleb. Na dwie części. Połowa kanapki jego, połowa moja. Kanapka z serem białym, szczypiorkiem i rzodkiewką. Zastanawiam się skąd w tych sklepach mają wiosenne warzywa. Skąd taka rzodkiewka w zimie. Gdzie to rośnie. Po co to komu. To tak jakbym opalał się w zimie. Niby można, ale wezmą Cię za dziwaka. A zresztą. Pokaż mi kogoś kto nie jest dziwakiem, mówię do chłopca. Idziemy na herbatę. Zimową. Z pomarańczą, goździkami, imbirem i miodem. Siedzimy grzejąc dłonie o gorące kubki. Młodość pyta. Jak to on. Opowiedz o ludziach. Kiedyś na Ziemi królowały dinozaury. Teraz ludzie. Do czego doprowadzi rozwój ludzkości. Do upadku. To jak z napełnianiem filiżanki herbatą. Wlewasz do filiżanki ciepły napój. Nie da się jednak wlewać go w nieskończoność. W pewnym momencie filiżanka się przepełni i herbata zacznie się z niej wylewać. Tak samo będzie z rozwojem ludzkości. Przyjdzie moment, że zajdzie on za daleko. Przyjdzie moment gdy sam siebie pochłonie. A ludzie tacy jak ja czy Ty, pyta chłopiec. Też jesteśmy ofiarami postępu, pyta. Ludzie, jako gatunek, pędzą i nie chcą zwolnić. Nie chcą się zatrzymać i pomyśleć. A gdy nie myślisz, nie kończy się to dobrze. Lub gdy myślisz tylko o pieniądzach, dodaje Młodość. To prawda, młody przyjacielu. To prawda. Wypiliśmy herbatę i odprowadziłem chłopaka kawałek. Nie doszedłem jednak do przystanku. Rozstaliśmy się wcześniej. Nagle. Chłopak się zdziwił, ale zrozumiał. A ja zobaczyłem swojego syna. Chyba. Może. Albo kogoś podobnego. Albo mi się przewidziało. Kto wie. Trudno. Wróciłem na legowisko. Dorzuciłem się do flaszki. Zetowi. Poszedł i wrócił z flakonem. Jemy orzechy. I pijemy. Na bogato. All inclusive. Tylko koce zamiast kołdry. Zet opowiada, jak w dzieciństwie zajadał się orzechami włoskimi. Rosły przy domu. Ja na to, że ludzie mają tendencję do wybielania dzieciństwa. Wtedy orzechy smakowały. Wybitnie. Teraz już mniej. A orzech to orzech. Smaku nie zmienił. Tylko my się zmieniamy. Dziadziejemy. I chcemy, żeby wróciło to czego już nie ma. Jak mój ząb. Wybrał wolność. Nie tęsknię za nim. Pozwoliłem mu odejść. Poszedł na swoje.

## 24 GRUDNIA

W końcu się wyspałem. Bez bólu zęba. Bez bólu duszy. Zet przeszedł samego siebie. Kolęduje i winszuje od rana. Już pijany. Złożył mi życzenia bożonarodzeniowe. Opatka nie mieliśmy. Podzieliliśmy się kielichem. Śpiewa. Mówię mu, że za wcześnie. Że kolędy to dopiero wieczorem. Nie słucha. Śpiewa dalej. Nie jem śniadania. Post. Nie trzeba ale można. Post jeszcze nikomu nie zaszkodził. Stopień wiary nie ma tu nic do rzeczy. Idę na kubek. Po drodze myślę sobie, że kolejne święta bez śniegu. Będą. Był, ale stopniał. Odwilż. Po drodze mijam faceta co niesie choinkę. Większą od niego. To znów wychodzi młoda pani z galerii. W rękach torby z logami znanych marek. Okulary na oczach. Świat ją razi. Pewnie. Usiadłem i siedzę. Kubek się zapełnia. Kubek żyje. Mówi, że nalałbym kiedyś kawy. A nie tylko drobniaki i drobniaki. Mówi, że jest stworzony do czegoś innego. Do czegoś większego. Że marnuje się na

chodniku. Możliwe odpowiadam. Ale żyjesz. Długo i służysz. Kawosze wyrzucają kubki po jednej kawie. Nie potrzebują. Nie chcą przedłużyć życia kubka. Na śmieci. Od tak. Ty żyjesz. Nie narzekaj. I tak upływa mi czas na rozmowie z kubkiem. Po godzinie, czy półtorej na kubku postanowiłem pojechać do łaźni. Więc przerwa w zbieraniu. Pojechałem. 3 przystanki. Na łaźni tłok. Zapraszają mnie na wigilię. W jadłodajni. Ma być mnóstwo ludzi. Ma być miło. Mówię, że nie wiem. Mówię, że zobaczę. Wracam na rewir. Autobusem. Siadam na kartonie. Tyle że czysty. Kubek się na mnie dziwnie patrzy. Zbieram. Widzę człowieka, któremu urwała się siatka. Za ciężka była i ucho nie wytrzymało. Pomarańcze wysypały się na chodnik. Zbieram. Podziękował. Siedzę dalej. Godzina i następna. Po drugiej – trzecia. Nie jestem zdziwiony. Widzę Młodość. Idzie i się śmieje. Nie wiem z czego. Nie mówi. Za to mówi, że ma dziś dobry dzień. Że ubierał choinkę. Że święta, to wszyscy są mili. Magia. Ja tam magii nie czuję, odpowiadam. To zapraszam. Ja i nie tylko ja, mówi chłopak. Rodzice też chcą żebyś przyszedł. Żebyśmy razem spędzili ten wieczór. Zjemy. Pogadamy. Pośpiewamy. Po namyśle zgodziłem się. Ale muszę się przebrać, mówię. To idziemy na legowisko. Chłopak czeka. Ja się przebrałem i w drogę. Autobus i piechota. Po drodze Młodość pyta. Mówi. Jak to on. Opowiedz o nauce. Mówię. Że trzeba się uczyć całe życie a nie tylko w szkole. Chłonny, otwarty umysł to szczęśliwy umysł. Trzeba uczyć się kochać. Trzeba uczyć się współczuć. Trzeba uczyć się żyć. Nikt nas tego nie nauczy. Nie ma wykładów z życia. Ani seminariów. Nic. Świat mówi nie musisz. Ja mówię powinieneś. Uczyć się żyć. Uczyć się kochać. Bez tej umiejętności pozostaniesz wydmuszką. Bez tej umiejętności do końca życia będziesz marzył o szczęściu. Nie wiedząc czym jest i po co. Są też tacy, którzy się uczyli. I przestali. Tych mi szczególnie szkoda. Tych rozleniwił świat. Jego uroki. Błyszczą a oni się cieszą. To im wystarcza. Mówią sobie, że żyć będą później. Kiedyś. Nie dzisiaj. Że już tyle potrafią. Tyle się nauczyli. Nie potrzebują wiedzieć. Za dużo. Żle. Za mało. Żle. Oni wiedzą po środku. W sam raz. Skoro wiedzą, to niech wiedzą. Usychają. Zanim zakwitną. Zanim zaowocują. Usychanie staje się ich sensem. Ich życiem. Tak wybrali. Każdy sam podejmuje decyzje. Każdy odpowiada za podjętą decyzję. Uczyć się, lub umieć. Niby niewielka różnica. Niby.

Młodość mieszka w starym domu po babci. Z małym ogródkiem. Przed domem biega pies. Rufus. Wchodzimy. Poznają domowników. Młodość mnie przedstawia. Witamy się jakbyśmy się znali od dawna. Mama, ojciec i brat. No i Młodość. Nie widzę w ich oczach litości. Nie traktują mnie inaczej. Widzę w nich tylko radość. I jakiś taki podniosły nastrój. To w końcu wyjątkowy dzień. Wigilia. Ojciec podaje mi bombkę. Białą. Z ręcznie malowanym dzieciątkiem Jezus. Mówi, żebym powiesił na choince. Żebym miał swój wkład w ubieranie. Ostatnia bombka. Najważniejsza. Wieszam. Brat robi mi zdjęcie. Rozmawiamy. O tym, o tamtym. Temat schodzi na Wigilię. Mówię. Ludzie mówią, że czekają na święta. A tak naprawdę czekają na Wigilię. Na dzień przed. Gdy pragniesz złapać króliczka, to najlepszy jest ten moment zaraz przed. Chwila przed złapaniem. Już wiesz że jest Twój. Już wiesz, że się nie wymknie. Prawie go masz. Ale jest jeszcze cień szansy. Że ucieknie. Ma nadzieję. Resztki. Na wolność. I ta chwila przed, smakuje najlepiej. Dlatego wigilijne potrawy są takie smaczne.

Ojciec odpowiada. Wigilijne potrawy są takie smaczne, bo mama dobrze gotuje. Wszyscy w śmiech. Pomagam ustawiać talerze. Jeden talerz zostaje wolny. Dla zbłąkanego wędrowca. Mnie traktują jak swojego. Nigdzie przecież nie wędruję. Rozmawiamy jeszcze chwile. I jest. Już czas. Wspólna modlitwa. I dzielimy się opłatkiem. Życzymy wszystkiego co najlepsze. To wspaniała tradycja. Przypomina by nie trzymać w sercu uraz. By wybaczać. By się

całować i przytulać. Klepać po plecach i uśmiechać. Zapalona świeca wigilijna. Siadamy i jemy. Barszcz czerwony z uszkami. Nie z torebki. Z buraków. Pyszny. Oczywiście kapnęło mi się na obrus. Ubrudziłem. Nie sam. Młodość nie był gorszy. To samo. Jest powód do śmiechu. Zupa grzybowa. Pierogi. Dwa rodzaje. Ryba jedna. Ryba druga. Już nie dają rady. Już nie mogę. Ale trzeba, powtarzają domownicy. Więc jemy. Więc cierpimy dla dobra tradycji. Dwanaście dań. Koniec. Mama chce zgasić świecę. Ojciec mówi, niech się pali. I pali się. Skaczącym płomieniem. Prezenty. Młodszy brat Młodości nurkuje pod choinkę i rozdaje każdemu upominki. Ja dostaję czapkę. Włóczkową. Mama mówi, że sama zrobiła. Nie wiem jak dziękować. Od Młodości dostaję nowy gruby zeszyt z długopisem. Ja nie mam prezentu. Więc daję to co mogę. Obiecuję pomodlić się za każdego z domowników. Osobno. Jeden dzień. Jedna modlitwa. Jedna osoba. Mama mówi, że to ważniejsze niż czapka. Dziękuję. Chwilę rozmawiamy. I kolędowanie. Wspólne śpiewy. Mama gra na pianinie. Starym jak dom. Ale wiek nie ma znaczenia. Liczy się atmosfera. Liczy się uśmiech ludzi. Połączonych wspólnym świętowaniem. Wspólną radością. To był wspaniały czas. Wyśmienicie się bawiłem. Byłem częścią rodziny. Szczęściem we własnej osobie. Rozstaliśmy się po 21-szej. Podziękowałem za gościnę. Słowami. Nie umiałem inaczej. Nie wiedziałem jak. Było wspaniale.

Wróciłem na legowisko. Po drodze kupiłem flaszkę w całodobowym. Dałem chłopakom. Jako prezent. Żeby ten dzień był dobry, także dla nich. Ucieszyli się. Ja nie piłem. Nie potrafili zrozumieć dlaczego. Ale siedziałem z nimi. Rozmawialiśmy. Śmialiśmy się. Opowiadali jak było na wigilii w jadłodajni. Jaka miła atmosfera. Cieszyłem się. Że nie byli sami. Że nie tylko ja miałem dziś dobry dzień. Piszę te słowa w świetnym nastroju. Piszę, kończę i kładę się spać.

## 25 GRUDNIA

Wstaję zadowolony. W ustach jeszcze czuję smak wczorajszego barszczu. Z uszkami. Coś wspaniałego. Zet jakiś nie w sosie. Chyba wczoraj przesadził z alkoholem. Mówi, żeby mu przyniósł piwo. Prosi jak umie. To poszedłem do non-stopu i wróciłem z czteropakiem. Poczęstowałem się jednym. Drugie dla wąsatego Władka. Reszta dla Zeta. Żeby wrócił do żywych. Albo do pijanych. Jak zwał, tak zwał. Czytam chwilę wierszyki „350 uniesień duszy”. Dałem im drugą szansę. I po ponownym wgryzieniu się faktycznie smakują ciekawiej. Później poszedłem zobaczyć choinkę. Tą wielką, co koło rynku stoi. Niedaleko, a nie było okazji zobaczyć. Pytam Zeta czy idzie. Mówi, że już ją widział. To idę sam. Choinka piękna. Dorodne drzewko. Ludzie kręcą się i robią zdjęcia. Jakby pamięć nie wystarczała. Ja mam tyle lat i pamiętam co robiłem w dzieciństwie. Nie muszę zdjęć robić. Przeszedłem się jeszcze po rynku. Usiadłem. I posiedziałem na ławeczce pod kasztanem. Leniwy dzień. Pierwszy dzień świąt. Ale żeby nie był zbyt leniwy postanowiłem posiedzieć na kubku. Z dwie godzinki chociaż. Żeby obiad się zwrócił. Żeby było jak zwykle. Człowiek przyzwyczaja się do rzeczy, które powtarza. Wrastają w niego. Wrastają w każdego. Więc idę. I siadam. Kubek dziś ma lepszy humor. Nie marudzi. W ogóle się nie odzywa. I dobrze. Siedzę. Ludzie wrzucają. Pewna kobieta zaczepia mnie i pyta gdzie jest postój taksówek. Pokazuję. Podziękowała. Pewien mężczyzna pijany. Idzie. Zatacza się. I przewraca. Pomagam mu wstać. Chłop popatrzył na mnie, odwrócił wzrok i idzie dalej. Siedzę. Zbieram. Młodość. Witaj przyjacielu. A Ty dalej domu nie zbudowałeś, przywalił z grubej rury. Ja na to, że czekam na pozwolenie na budowę. Wiesz jak jest z tymi urzędami. Schodzi. Pośmialiśmy się. Przyniósł obiad. Kawał pieczonej kaczki. Zawinięta w

sreberko. Pytam czy jemy na pół. Młodość mówi, że już jadł. To zostawiam. Będzie dla chłopaków. Młodość pyta, czy byłem już w kościele. Odpowiadam, że wolę bezpośrednią relację z Bogiem. Rozmawiam z nim sam na sam. Idziemy do kawiarni. Kawka jak czkawka. Jedno i drugie się kończy. Rozmawiamy. Młodość pyta. Mówi. Opowiedz mi o rodzinie. Rodzina to dom. Który nosisz w sercu. Rodzina to ludzie. O których dbasz. O których myślisz. Zależy Ci na rodzinie. Zależy Ci żeby jej nie stracić. A stracisz. Każdy straci. Na Ziemi wszystko ma swój czas. Początek i koniec. Dlatego tak ważne jest, żeby cieszyć się rodziną póki czas. Doceniać póki jest. Pielęgnować relacje. Tworzyć, dawać, brać, śmiać się i płakać. Wspólnie. Z najbliższymi. Życie dla najbliższych. Życie dla siebie. Dla zaspokajania swoich pragnień jest puste. Nic nie warto. Po to jest rodzina. Żeby żaden oddech nie poszedł na marne. Żebyś miał kogo kochać.

Chłopak pyta żartobliwie, czy pies to też rodzina. Odpowiadam, że to zależy. Jeśli dorzuca się do czynszu i rachunków to tak. Śmiejemy się. Bo niczego lepszego, nikt nigdy nie wymyślił. Jemy jeszcze ciastko. Z jakimiś dziwnymi ziarnami. Tym razem to Młodość mnie odprowadził. Na legowisko. Przedstawiłem go Zetowi i wąsatemu Władkowi. Posiedział z nami chwilę i poszedł na autobus. Zjedliśmy kaczkę. Z Zetem na pół. Wąsaty gdzieś poszedł. I wrócił późną nocą. Nie powiedział gdzie był. Wskoczyliśmy jeszcze z Zetem po flaszkę i powrót. Siedzimy i gadamy. Bez fajerwerków. Zet mówi, że policja nie świętuje. Zawinęli Romana. Spał przy budynku obok. Jedna ulica dalej niż my. Pytam za co. Zet mówi, że chwilówki. Ktoś podobno nabrał pieniędzy na jego dowód. A on musiał spłacać. Nie spłacał to go zgarnęli. Najpewniej pójdzie siedzieć, kończy Zet. Szkoda chłopaka, podsumowuje. Przed spaniem modłę się. Tak jak obiecałem. Jeden dzień. Jedna modlitwa. Modle się za mamę Młodości. Rozmawiam o niej z Bogiem. Chwalę. Proszę, żeby nad jej głową zawsze świeciło słońce. Żeby nie miała powodów do łez. Chyba że szczęścia. Tego niech ma dużo. Niech wypcha szczęściem kieszenie. Niech się jej szczęściem odbija. Proszę o to Boga. Nie odpowiada. Mam nadzieję, że milczenie jest oznaką zgody.

## 26 GRUDNIA

Otwieram oczy. Nie wiem co się dzieje. Nie wiem czy jeszcze śnie, czy już nie. Co to było. Co się zdarzyło, pytam sam siebie. Tego jeszcze nie było. Ale jaja. Ale czy to było prawdziwe. Naprawdę, czy na niby. To sen z tych zwykłych, czy niezwykłych. Tych które zmieniają człowieka. Mnie zmienił. Ten sen. Niepodobny do żadnego wcześniej. Niepodobny do wszystkiego co w życiu widziałem.

W śnie nawiedził mnie anioł. I mówi, masz siedem dni. Siedem ostatnich. Pokazuje mi piekło i niebo. Oprowadza po jednym i drugim. I mówi, że to ostatnia chwila, aby się zmienić. Aby zamienić piekło na niebo. Mówi, że Kościół jest święty. Mówi, że to drabina po której się wchodzi do nieba. Zdradza także sekret. Tajemnicę życia. Nie oceniać. Nie oceniać ludzi. Bez względu na to co nam zrobili. Bez względu na to jak się zachowali względem kogoś innego. Nie ważne co mówią. Nie ważne co robią. Nie oceniaj. Prawo do oceny należy się tylko Bogu. Nie próbuj wchodzić w Jego buty, bo porobią Ci się odgniaty. Nie oceniaj a nie zostaniesz oceniony. Prosta prawda. Prawda. Tylko tyle i aż tyle. Jeśli Ty nie będziesz oceniał ludzi. Bóg nie oceni Ciebie. Będziesz mógł iść. Gdzie będziesz chciał. Nikt nie zamknie Ci bram niebios przed nosem.



Poznałeś tajemnicę życia. Wiesz już jak obejść system. Pytanie, czy wykorzystasz tę wiedzę. Pytanie czy wiedza zmieni się w mądrość. Pytanie czy mądrość przemieni Twoje serce. To słowa anioła. To więcej niż słowa. To życie.

Zet chciał mnie poczęstować winem, które jakimś cudem zdążył już kupić. Mówię, że nie piję. Od dziś nie piję. Kończę z tym. Rzucam to cholerstwo. To może jeszcze przestaniesz się ze mną kumpłować, pyta Zet. Na to nie licz. Za bardzo Cię lubię. Śmiejemy się. On ze mnie, bo myśli, że nie wytrzymam w postanowieniu. Ja z niego, bo nie rozumie. Nie wie co się stało. Poszedłem na śniadanie. Z Zetem. Parówki, ketchup, musztarda, chleb. Zjedliśmy i mówię, że idę do Kościoła. Zet parzy na mnie jak na wariata. Odchodzi. Nie mówi gdzie. Kościół wygląda inaczej. Gdy uwierzysz w piekło i niebo. Wcześniej, jak byłem młody, chodziłem do kościoła. Bo wszyscy chodzili. Bo taka tradycja. Bo wypada. Słowa modlitw nic nie znaczyły. Takie tam gadanie. Wszystko się zmienia gdy uwierzysz. Tak naprawdę. W piekło i niebo. Gdy poczujesz na własnej skórze, że to nie mit. Że to nie legenda, jak ta o smoku. Ja wiedziałem. Ja uwierzyłem. To nie legenda. Poczulem zapach piekła. Szczypał w nos. Poczulem zapach nieba. Pachniał kwiatami i wanilią. Wypowiadałem się. Żałowałem za grzechy. Zapłakałem. W Kościele. Gdy pomyślałem jak żyłem. Jak raniłem Pana. Ale zawróciłem. Na ostatniej prostej.

Po Mszy poszedłem na kubek. Uśmiechnięty. Zadowolony. Ludzie się mi przyglądali. Nie często można zobaczyć śmiejącego się bezdomnego. Unoszącego się nad ziemią kłoszarda. Wyzwolonego. Uskrzydłonego. Żyjącego.

Stało się też coś dziwnego. Spotkałem czarownicę. Przechodziła jak inni. Była ubrana jak inni. Nagle zatrzymała się i patrzy. Ona na mnie, ja na nią. Ona wiedziała kim jestem. Ja wiedziałem kim ona jest. Nie bałem się jej. Ona nie bała się mnie. Tylko patrzyła. Tak jak ja. Poszła dalej. Bez słowa. Ja siedziałem dalej. Bez słowa.

Młodość. Witam się z nim czule. Mama kazała podać Ci pierniczki. W termosie mam kawę. Siedzimy i gadamy. Jak starzy znajomi. Jakbyśmy biwakowali w górach. Strudzeni wędrowcy. W pewnym momencie chłopak pyta co robię, gdy tak siedzę przy kubku trzy, cztery godziny, czy więcej. Czy rozmyślam, czy marzę, czy się modlę. Milczę, odpowiedziałem. Niektórzy nazywają to medytacją. Ja nazywam to milczeniem. Nie myślę. Siedzę z czystą głową. Nic w niej nie ma. Tylko spokój. Tylko cisza. Spróbuj kiedyś. Zobacz jak to jest. Milcz. Wewnętrznie. Poznaj ciszę a ona pozna Ciebie. Dowiesz się jakie ma tajemnice. Usłyszysz co szepcze.

Chłopak zauważa, że jestem jakiś inny i mówi mi to. Odpowiadam, że miałem sen. Opowiadam. Mniej więcej. Coraz mniej pamiętam. Rano był wyraźny. Teraz się rozmywa. Coraz mniej szczegółów. Ale opowiadam. Co pamiętam. Młodość mówi, że Bóg mówi do nas na różne sposoby. W snach także. Trzeba tylko uważnie słuchać. Trzeba wierzyć.

Powtarzam mu, to co ważne. Powtarzam, żeby nie oceniał. A chłopak na to pyta. Czy gdybym Cię oceniał siedziałbym z Tobą tu teraz. Czy siedzielibyśmy tydzień, czy dwa tygodnie temu. Niczego odkrywczego anioł Ci nie powiedział. To prawda. A prawda nie jest odkrywczą. Prawdę zna każde dziecko. Tylko większość osób z wiekiem ją zapomina. Ty sobie przypominałeś. Twój zysk. Diabła strata.

Pożegnaliśmy się wracając do siebie. Ja wróciłem do siebie. Młodość nie musiał. Już był u siebie. Przed snem modlę się za ojca Młodości. Drugi dzień. Druga osoba. Druga modlitwa. Czy raczej rozmowa z Bogiem. Przekonuję Go, że być ojcem na Ziemi jest równie trudno jak być Ojcem w Niebie. Nie wiem, czy uwierzył, ale na pewno się uśmiechnął. Skoro już się

śmiejemy, to spraw aby ojciec Młodości śmiał się razem z nami. Codziennie. Do końca ziemskiego życia. Niech ma wstęp przed kolejnym. Niech się przyzwyczaja.

26 grudnia - drugi dzień świąt Bożego Narodzenia. Święto rodziny i pierwszego męczennika. Pamiętny dzień. Dzień, który mnie zmienił. Dzień w którym zacząłem żyć.

## 27 GRUDNIA

Obudziłem się radosny. Pełny życia. Po depresji ani śladu. Zapomniałem jaką miała melodie. Zapomniałem jakie miała słowa. Przypomniałem sobie, że wczoraj jadłem tylko parówki i pierniczki. Ale nie jestem głodny. Zet pyta czy po piwku. Ja pytam, czy po Kościele. Ja nie rozumiem Zeta. Zet nie rozumie mnie. Mówimy w innych językach. Nie przez przypadek. Wszystko po to aby się nie zjednoczyć. By nie próbować stać się większym od Boga. Pył musi pozostać pyłem. Idę do Kościoła. Powtarzam „wierzę w jednego Boga, Ojca wszechmogącego” głośno i wyraźnie. Msza jest piękna. Zachwyca zwyczajnością. Nadzwyczajnie.

Śniadanie w jadłodajni prowadzonej przez mnichów. Naleśniki na słodko. Zawsze i wciąż. Mnisi wydają się miłsi. Mnisi wydają się wiedzieć. To co ja. Że każdy ma wybór. Że wybrałem dobrze. I ze swojego wyboru nie zrezygnuję. Mnisi zapraszają do robienia różańców. Za dwa dni. 29 rano. Mówię, że zobaczymy. Dziękuję za zaproszenie.

Idę na śmietniki. Na szybko. Zobaczyć co i jak. Pod supermarket i pod spożywczaka. 4 pomidory. Płatki śniadaniowe i łośoś po terminie. Cała zdobycz. Dalej na kubek. Sam się nie zapełni. Trzeba mu pomóc. Pieniądze się przydadzą. W mojej głowie rodzi się plan. Odwiedzić rodzinę i stać się pielgrzymem. Na sam koniec. Żyć. Najpiękniej jak się da. Siedzę na kubku. Z czystą głową. Z szczęśliwą głową. Przechodzi koło mnie matka z dzieckiem. Dziecko pyta mamy, dlaczego ten pan tak tu siedzi. Mama odpowiada, to pijak i złodziej. Jak będziesz niegrzeczny, też tak będziesz siedział na zimnie. Uśmiechnąłem się do nich. Dziś nawet koksownicy nie potrzebne. Jest kilka stopni powyżej zera. Świeci słońce. Ładny dzień. Dobrze się siedzi. Po jakimś czasie pojawia się i on. Młodość. Promieniuje młodością. Promieniuje chęcią do życia. I ciętym językiem. Pyta czy odprowadzam podatki. Co, odpowiadam. Mówi, że się wzbogacam. Więc powinienem płacić podatki od wzbogacenia. Od darowizny. Fiskus nie dzieli ludzi na tych z domem i tych bez. Podatek jest podatek. Śmiejemy się. Pytam co u niego. Mówi, że wszystko dobrze. Tylko brat się przeziębził. Nic wielkiego. Pytam, czy kawa. A może wspólny obiad. Mówi, że możemy coś zjeść. A zamiast kawy napijemy się kompotu. No to dobra. W to mi graj. Idziemy. Po drodze mijamy faceta z transparentem „piekło kobiet”. Hobby jak każde inne. Co, pyta chłopak. Strajkowanie, odpowiadam z uśmiechem. Bar mleczny. Zamawiamy po rybie. Dorsz. Rzadko jem ryby. Drogie. Ale człowiek wie za co płaci. Smakuje wybornie. Do tego ziemniaczki, surówka i kompot. Rozmawiamy. Chłopak mówi. Pyta w swoim stylu. Opowiedz mi o duchowości. Nie ma duchowości bez religijności. Zrozumiałem to niedawno. Ale wiem, że to prawda. Wiem, że nie da się inaczej. Nie można. Trzeba kochać Kościół. Nie kochasz Boga, jeśli nie kochasz Jego Kościoła na Ziemi. Trzeba patrzeć na to co dobre. A nie skupiać się na tym co złe. To co w oczy kole jest po to, abyśmy nie popełnili tych samych błędów. To nasza nauka. To ostrzeżenie. Że każdy może się potknąć. Że każdy jest tylko człowiekiem. Nie krytykuj, jeśli sam nie chcesz być krytykowany. Nie odwracaj się od tych, którzy błędzą, bo kiedyś odwrócą się od Ciebie. Żyć to potknąć się i iść dalej. Podkreślając IŚĆ. Nie zatrzymywać się. Ciągłe w ruchu. Ciągłe w drodze.

Chłopak powiedział, że będzie mu brakowało naszych rozmów. Młodość nie jest młodością w nieskończoność. Każda młodość dorasta. Prędzej czy później. Lub nie. Lub niekoniecznie. Może tylko my dorośliśmy i myślimy, że nie da się inaczej. Myślimy, że Młodością nie można być i zostać. Do końca młody. Do końca świeży.

Młodość uściskał mnie w barze i uśmiechnął się. Powiedział, żebym go nie odprowadzał. Żebym został. Wyszedł. Posiedziałem chwilę w ciszy. Po dobrym kwadransie dosiadł się starszy mężczyzna. Z bielmem na oczach. Podał mi rękę i przedstawia się. Jestem Starość. Nie podałem mu ręki. Nie odpowiedziałem. Wstałem i wyszedłem. Wróciłem na legowisko. Zet już czekał z flaszką. Wąsaty mówi, że beze mnie nie piją. Ja na to, że w takim razie zostaną abstynentami. Nie dotrzymali słowa. Po chwili byli już pijani. Beze mnie. Leże i myślę. O mojej żonie. O dzieciach. O tym co było i o tym co będzie. Przed snem modłę się. Tym razem za brata Młodości. Trzeci dzień. Trzecia osoba. Trzecia modlitwa. Bóg ma już dość, tego mojego gđakania. A może nie. A może jest samotny. Lubi gdy ktoś zagada. Porozmawia. Dobrze o nim pomyśli. Nie stworzyłby ludzi, gdyby miał być w stosunku do nich obojętny. Nie kochałby, a kocha. Skoro kocha to słucha. Skoro słucha to wie. To co ja wiem. To co wie każdy świerszcz i każda kaczka. Że warto żyć. Że warto kochać.

## 28 GRUDNIA

Otworzyłem oczy. Przywitał mnie nowy dzień. Słońce się do mnie uśmiecha. Ukłoniłem mu się z szacunkiem. Na śniadanie pomidor. Dzielę się rybą i pomidorami z Zetem i wąsatym Władkiem. Pytają czy mi przeszło. Czy już jestem normalny. Odpowiadam, że ciesze się że ich widzę. Idę do Kościoła. Niedaleko. Dziesięć minut piechotą. Msza. Mówię głośno i wyraźnie „Błogosławiony, który idzie w imię Pańskie”. Gdy ksiądz udziela błogosławieństwa, czuję ukłucie w sercu. Postanawiam odwiedzić moich synów. Od lat ich nie widziałem. Mieszkają na obrzeżach miasta. Jeden mieszka na prawym brzegu rzeki, drugi na lewym. Jadę najpierw do młodszego. Na lewy brzeg. Osiem przystanków. Kupuje bilet. Wsiadam. Jeszcze kilka minut piechotą. I dzwonię domofonem. Blok. Nikt się nie odzywa. Dzwonię ponownie. Cisza. Drzwi się otwierają. Wychodzi starsza kobieta z psem. Korzystam z okazji i wchodzę. Po schodach na górę. Piąte piętro. Nogi bolą przy końcu. Ale udało się. Jestem. Przed drzwiami. Dzwonię dzwonkiem. Pukam. Drzwi się otwierają. Pijany Maciek. Syn. Milczy. Popatrzył i zatrzasnął drzwi. Poczekalem jeszcze chwilę. Może zmieni zdanie. Może się zastanowi i otworzy. Nie otworzył. Przykro mi. Ale miał powody. Stwierdził, że tak lepiej. Bez ojca, niż z. Jego wybór. Pojechałem na drugi koniec miasta. Przez most. 11 przystanków. Kawał drogi. Starszy syn mieszka w bliźniaku. O ile dobrze pamiętam to tu. To to miejsce. Dzwonie. Otwiera synowa. Uśmiecha się i zaprasza do środka. Proponuje coś do picia. Pijemy herbatę i rozmawiamy. Mówi, że syn, Bartek, wróci z pracy za jakieś cztery godziny. Pytam czy mogę poczekać. Kiwa głową na znak zgody. Mają dwójkę dzieci. Wnuki. Widze ich po raz pierwszy. Młodszy Stefan 5 lat. I starsza Amelka 8. Na Amelkę jeszcze musze poczekać. Jest w u koleżanki. Rozmawiam z synową. Opowiada mi, że pracuje w domu. Píše artykuły. Do internetu. Czasami przeprowadza wywiady. Dziennikarka. W nowym stylu. Daje mi przeczytać to co aktualnie pisze. Temat ciekawy. Przejmowanie kamienic i wyrzucanie ludzi na bruk. To się zdarza. Niestety. Bawię się ze Stefanem. Układamy wieżę z klocków. Mądre dziecko. Nie boi się, ani nie wstydzi nowej twarzy. Mojej twarzy. Synowa proponuje obiad. Jemy razem pierwsze danie. Grochówkę. Opowiada, że Stefan czeka na operację nerki. Wada wrodzona. To się zdarza. To

kosztuje. Nie znam się na tych medycznych słowach, których używała, ale nie brzmiało to miło. Współczuje maluchowi. Dopiero zaczyna życie a już musi o to życie walczyć. Wyciągam z plecaka pierścionek z kamieniem. Zawinięty w chusteczkę. Daję synowej. Mówię, żeby schowała. To na operację małego. Nie mów Bartkowi. Nie chce żeby wiedział. Podziękowała. Wzruszyła się. Przytuliła. Wraca Amelka. Poznaj swojego dziadka, mówi synowa. Trochę nieśmiała. Trochę zawstydzona. Ale opowiada. Jak jej idzie w szkole. Że nie lubi matematyki. Że ma fajne koleżanki. Miło. Nie spodziewałem się. Nie myślałem, że tak miło mnie przywitają. Ale jeszcze syn. Co powie Bartek. Wrócił. I powiedział. A raczej zapytał czy pije. Bo w tym domu nie ma miejsca dla alkoholików. Mówię, że już nie. Że to rzuciłem. Podał mi rękę. Zjedliśmy wspólny obiad. W piątkę. Zapiekankę makaronową. Z kurczakiem. Pyszna. Dopytuję Bartka co w pracy. Czy jest zadowolony. Jakie ma zainteresowania. Czy ma kontakt z bratem. Rozmawiamy. Jak rodzina. Jakby nie było tej wieloletniej przerwy. Bartek w pewnym momencie stwierdza, że dziwnie wyglądam. Że jestem ciągle uśmiechnięty. Nie pamięta mnie takiego. Kiedyś byłeś inny. Odpowiadam, że nawet starzec może się zmienić. Nawet starzec może zmądrzeć. Zostają jeszcze trochę. Amelka pokazuje dyplom za 3-cie miejsce w konkursie recytatorskim. Taka mała a już uczy się wierszyków na pamięć. Niestychane. Synowa mówi, że była najmłodsza z całej grupy konkursowej. Ty też, zawsze byłeś zdolny, mówię do Bartka. Nie odpowiada. Po chwili zaprasza mnie na niedzielę. Na obiad. Żona upiecze ciasto. Posiedzimy. Przyjedź. Mówię, że nie wiem. Mówię, że zobaczę. Ale dziękuję. Doceniam propozycję. Jestem przeszczęśliwy, że tak mnie potraktowaliście. Miło. Z sercem. Z miłością. Ściskam się z każdym na pożegnanie. I wychodzę. Wracam do siebie. Na legowisko. Chłopaki pijane. Mówią, że kto nie pije ten donosi. Nie chce mi się z nimi gadać. Idę spać.

## 29 GRUDNIA

Wstałem. Znowu ładna pogoda. Jaka by nie była, nie zmieniałaby mojego nastroju. Chce mi się żyć. Cieszy mnie każdy dzień. Dziękuję Bogu. Za to co było. Za to co jest. I za to co będzie. Zet prosi, żeby mu pożyczyć dychę. Nie ma na alkohol. Mówię, że mogę mu kupić coś do jedzenia jeśli jest głodny. Ale na alkohol nie dam. Obrzął się. Widocznie nie jest głodny. Poszedłem do Kościoła. Klęcząc myślę o tym, że klęczy się po to aby wstać z kolan. Że w klęczeniu nie chodzi o samo klęczenie. Może. Nie wiem. Tak myślę. Poranna msza dobrze nastraja. Do dnia. Do życia. Później jadę autobusem do łaźni. Czysty idę na śniadanie do jadłodajni obok. Jajecznica na szynce. I bułeczki. Na śniadaniu spotykam Stefcia. Mówi, że już nie kradnie. I nie pije. Mówi, że mnisi pomagają mu wyjść na prostą. Jestem młody i nie głupi, powiedział. Dam radę. Będę pracował. Wynajmę coś. Wrócę do żywych. Trzeba żyć a nie wegetować na ulicy. Tak mówi. A ja na to, że pomodłę się za niego. Pomodłę się, żeby mu się udało. Po jedzeniu kto chce może pomóc w robieniu różańców. Mnisi organizują taką pracę bezdomnym. Żeby można było parę groszy zarobić, żeby bezdomni mogli poczuć się potrzebni, żeby poczuli się u siebie.

Nawlekam drewniane paciorki na sznurki. Według wzoru. Według sprawdzonej receptury. Recepty na świętość. Recepty na życie.

Jeden z różańców dostaję w prezencie. Który sam zrobiłem. Który ma mi pomóc. Jadę autobusem do parku. Bilet kupiony. Przy parku w spożywczaku kupuję ziarna słonecznika. Dla ptaków. Wsypuję trochę do karmników, które mijam. Resztą dokarmiam ptaki siedząc na ławce. Szybko orientują się, że podano do stołu. Zlatują się jeden po drugim. Siedzę koło

stawu. Zastanawiam się. Czy jechać. Czy żona będzie chciała mnie widzieć. Nie jestem już jak ten staw. Płynę. Dlatego spróbuję. Pojadę. Zobaczę. Najwyżej zatrzaśnie mi drzwi przed nosem. Albo w ogóle nie otworzy. Będzie jak będzie. Nie przekonam się jak będzie dopóki nie spróbuję. Jadę więc na dworzec. Z dworca kursuje autobus. Cztery razy dziennie. Codziennie. Wsiadam. Jadę. Żona mieszka w innym mieście. Półtorej godziny drogi. Więc spędzam te półtorej godziny w ciszy. Patrząc jak rozmyty świat za oknem pojawia się i znika. Jak pędzi. W odwrotnym kierunku do kierunku jazdy autobusu. Jestem. Dojechałem. Pobłądziłem. Nie mogłem znaleźć właściwego bloku. Wszystko się zmienia. Okolica się przebudowała. Powstało tyle nowych budynków. Ale jest. Udało się. W końcu trafiłem. Właściwy blok. Dzwonie. Odzywa się głos kobiety. Przedstawiam się. Otwiera drzwi na klatkę. Wychodzę schodami. Drzwi do mieszkania były już uchylone. Pukam i wchodzę. Żona patrzy na mnie i ani drgnie. Wręczam jej kwiaty, które kupiłem szukając właściwego bloku. Nie dziękuje. Milczy. Mówię, że się cieszę, że ją widzę. Tyle lat. Tyle razem przeżyliśmy. Ona na to, że dobrze się stało. Że teraz jest szczęśliwa z Cześkiem. Zaraz z roboty wróci. Obiad mu szykuję. Pomagam. Obieram ziemniaki. Kroję kapustę pekińską na sałatkę. Żona gotuje jajka. Pieczeń w piekarniku pachnie w całym mieszkaniu. Niewiele rozmawiamy. W pewnym momencie mówi, że kochała. Ale już nie kocha. Ja się jej pytam czy to była miłość. Czy na pewno. Czy miłość może przestać być miłością. To co to za miłość, która dziś jest miłością, a jutro nienawiścią. To co to za słowo, które dziś mówi co innego, niż następnego dnia. Żona milczy. Po co przyjechałeś. Tak naprawdę, pyta. Chciałem Cię jeszcze zobaczyć, odpowiedziałem. A co, samobójstwo chcesz popełnić, pyta. Nie. Tego nigdy bym nie zrobił. Ale tak to już jest. Że pod koniec wraca się do początków. Do chwil kiedy dużo się działo. Kiedy wrzało. Ziemniaki Ci kipią, mówię. Widzę, odpowiada żona. Wraca Czesiek. Poznajemy się. Rozmawiamy. Czesiek okazuje się być miły. Prosty, bezpośredni chłop. Opowiada o robocie na fabryce. O tym, że na żużel chodzi jak jest. Mówi też, że ryby łowi w sezonie. Daje piwo, ale odmawiam. Ty odmawiasz alkoholu, dziwi się żona. Pewnie chory jesteś. Nie, odpowiadam ze śmiechem. Dawno nie czułem się tak dobrze jak teraz. Zdrowy i zadowolony. Rozstajemy się wieczorem. Czesiek podwozi mnie samochodem na dworzec. Żebym zdążył na autobus. Bo ostatni. Wracam. Autobusem. Za oknem ciemno. Żona wyrwała mnie ze swojego serca. Jak chwasta. Miała do tego prawo. Niektórym to pomaga. Odwrócić się i nie myśleć. Może to i lepiej. Byłe było jej lepiej. Niech żyje jak chce. Po swojemu. Pomodlę się za nią. Jutro.

Na legowisku afera. Zet pobił się z wąsatym Władkiem. Wygonił go. Poszło o alkohol. Poszło o pieniądze na alkohol. Poszło o diabła który wymyślił i pieniądze i alkohol. Zabieram swoje rzeczy i idę do noclegowni. Dziś nie ma tłoku, bo ciepło. W miarę. Jegomość na łóżku obok głośno chrapie. Nie mogę zasnąć. Modlę się o mądrość. Dla Stefcia. Żeby chłopisko dostało drugą szansę. Bóg odpowiada. Mówi, że on drugich szans nie daje. Każdy sam musi sobie taką szansę sprawić. Dziękuję. Że jest.

### 30 GRUDNIA

Wyspałem się za wszystkie czasy. Wypoczęty. Zadowolony. Poszedłem się umyć i na śniadanie. Do jadłodajni. Twaróg urobiony z cebulką. I jakaś zielenina. Smacznie. Mnich mówi, że chciałby mnie jeszcze zobaczyć. Że różańce trzeba robić. Zaśmiałem się odpowiadając, że prędzej czy później na pewno się zobaczymy. Popatrzył na mnie dziwnym wzrokiem. Na jadłodajni napisałem list do Młodości. No, może bardziej liścik.

Drogi ...

Jesteś mną. Z młodości. Nie popełniaj moich błędów. Nie pij. Szanuj Kościół. Kochaj Boga. Żyj dla ludzi. Żyj miłością. KOCHAJ.

Kochający ...

Nadawca i adresat do wpisania. Życie. Nigdy nie przestanę cię zaskakiwać. Nigdy nie przestanę cię smakować. Jadę do szkoły fryzjerskiej. Ścinają mi włosy i brodę za darmo. Następnie odwiedzić Młodość. Dać mu list. Liścik. Okazuje się, że nie ma go w domu. Wyszedł. Zostawiam liścik mamie. Żeby przekazała. Poczęstowała makowcem. Zapraszała. Prosiła abym został na kawie, ale nie zostałem.

Zaczynam pielgrzymkę. Moją podróż. Do świętości. Do życia. Pisze na kawałku kartonu nazwę miasta wojewódzkiego do którego chce się dostać i łapie stopa na wylotówce. Godzina, druga i jest. Zatrzymał się facet w dostawczaku. Zabiera mnie. Do miasta wojewódzkiego. 150 kilometrów. Niecałe dwie godziny jazdy. Połowa drogi do miejsca docelowego. Do kolejnego miasta wojewódzkiego. Z pięknym kościołem. Ze świętym obrazem. Który odmienił już serce niejednego. Który uzdrowia ciało i duszę. Kierowca mówi, że jest rekwizytem. Wiezie rekwizyty do filmu. Historycznego. II wojna światowa. O nazistach. Opowiada, że jego syn pomaga mu w pracy. Zazwyczaj. Dzisiaj nie. Że jego żona pracuje w żłobku. Że lubi to co robi. Choć czasami bywa. Stres. Wszystko na ostatni moment. Coś nie dojedzie. Ktoś zmieni zdanie. Dzieję się. Ale lubię tłok. Ruch w interesie. To wyzwanie, mówi. I dobrze, odpowiadam. Dobrze jest gdy się lubi to co się robi. Nie każdy ma tyle szczęścia. Niektórzy pracują z przymusu. Bo trzeba wyżywić siebie i rodzinę. A wyboru dużego nie ma. Na rynku pracy. W mniejszych miastach. Podróż mija szybko. Dobrze się rozmawia. W mieście wojewódzkim kierowca zbacza z drogi którą miał jechać. Jedzie obwodnicą, specjalnie dla mnie, aby wysadzić mnie na wylotówce do kolejnego miasta wojewódzkiego. Dziękuję mu. I życzę powodzenia. Karton z nazwą miasta. Stoję. Czekam. Niedługo zacznie się robić ciemno, ale jest. Zatrzymał się. Samochód z rodziną. Mąż, żona i dwuletnie dziecko. Zabiorą mnie. Jadą tam gdzie ja. Świetnie, myślę i wypytuję co, jak i gdzie. Gdzie warto zjeść tani obiad. W jakich godzinach można zobaczyć cudowny obraz. I tak dalej. Są mili, ale niezbyt rozmowni. Mówią, że nie słyszeli, żeby ktoś zimą pielgrzymował. Mało kto. Ludzie to różnie przyjeżdżają. Ale zimą mało kto. Odpowiadam, że muszę. Że czuję. Że powinienem. 130 kilometrów. Półtorej godziny jazdy. Z przerwą na papierosa. Kierowca pali, więc zapalił. Nie chciał truć dziecka paląc w aucie. Mnie nie ciągnęło. Żeby poprosić. Żeby zapalić. Lepiej nie palić. Mili państwo wysadzają mnie w centrum miasta. Niedaleko kościoła. Białego. Do którego jadę. Już ciemno. Szukam baru mlecznego. Wypytuję ludzi. Pytam taksówkarza. Trafiłem. Jest. Zamawiam coś lokalnego. Coś stąd. Dostaję zalewajkę. Zupę z kawałkami ziemniaków. Jakiś stary facet z jednym zębem pyta mnie, czy turysta. Żartuje. Odpowiadam, że przyjechałem w interesach. Śmieje się. On i jego jeden ząb. Pytam, czy wie, gdzie się tu można przespać jak się nie ma pieniędzy. Mówi, że jest dom dziennego pobytu, przytulisko, schronisko. Wszystko dla bezdomnych. Sporo nas tutaj. To pytam gdzie najbliższe. Mówi jak trafić. Trafiłem. Księża witają mnie z uśmiechem. Pytają, czy jestem głodny, czy ze zdrowiem wszystko okej. Są mili. Miło porozmawiać z miłym. Niemiły uczy jak nie być niemiłym. Kładę się. Rozmawiam z Bogiem. Szeptem, żeby nikt poza Nim nie usłyszał. Mówię, że żona. Że Kocham. A jak się kocha, to się chce jak najlepiej. Bóg odpowiada.

Że wie. Że nie muszę nic mówić. Wszystko jasne. I żebym lepiej spał, bo jutro kolejny dzień. Musisz być w pełni sił, zakończył.

### 31 GRUDNIA

Nie pamiętam, którą nogą wstałem. Właściwą. Ksiądz powiedział mi gdzie mogę coś zjeść. Niedaleko. Jadłodajnia przy fundacji chrześcijańskiej. Smacznie i miło. Tosty z szynką. Bezdomny, który siedział przy stoliku obok narzekał na kapłanów. Mówił o nich tacy, owacy. Mówił, że tylko złoto im w głowie. A ja na to, że jak mu nie smakuje to nie musi jeść. Może porozmawiać z głodem o tym czy i kiedy warto sądzić. Głód Cię osądzi, zakończyłem. Zjadłem i poszedłem do Kościoła. Tego. Wyjątkowego. Do którego ściągają pielgrzymi nie tylko z całego kraju. Ale i z całego świata. Piękny. Msza. W ciszy. Nie potrafiłem wydusić słowa. Stałem i chłonałem. To powietrze. Te słowa. Tą melodię miłości.

Przyjmuję Komunię Świętą. Po raz pierwszy od lat. 26 grudnia się wypowiadałem. Ale nie miałem odwagi. Nie wiedziałem czy jestem godny przyjąć Ciało Chrystusa. Czy jestem godny stać się Jego ciałem i krwią. Połączyć się z Nim w miłosnym uścisku. Już na zawsze. Po wsze czasu. Teraz już wiem. Zrobiłem to. Połączyłem się z Chrystusem. W Komunii Świętej. W duchu. Żyję.

Ukłoniłem się przed obrazem. I wyszedłem. Spacerowałem. Myślałem. Milczałem. Byłem przy ratuszu. W parku. Przy dziewczynce z gołębiami. Dała mi potrzymać jednego. Białego. Powiedział do mnie, patrz jak to się robi. I odleciał.

Posiedziałem z bezdomnymi. Pogadałem. Narzekali. Niektórzy. Nie wszyscy. Że w zimie ludzie mniej dają. Że ciężko. Na turystach się dużo zarabia. Rozmodleni to i bardziej pomagają a w zimie ich nie ma. Prawie. Poznałem kobietę, około trzydziestki. Nie miała się gdzie podziac. Z małym dzieckiem. Ledwo co chodzi. A już na ulicy mieszka. To ściska za serce. Żal patrzeć, ale co ja mogę. Są tacy co dużo mogą. Są tacy od których coś zależy. Bezdomny bezdomnemu niewiele pomoże. Żeby się obudziła, daj Boże.

Poszedłem też do galerii handlowej. Do kibla. Wychodząc przyglądałem się zabieganym ludziom. Przygotowują się do sylwestra. Alkohol, bluzeczki z cekinami, szminka i farba do włosów. Fajerwerki. Ma być głośno i hucznie. Trzeba szaleć. Póki orkiestra gra. Albo nie. I to jest rada ma. Na Starym Mieście mijam ulicznego grajka. Gra na gitarze przebój Led Zeppelin - In My Time Of Dying. Wrzucam dwójkę do kapelusza. Idę coś zjeść. Bar. Dostaję prażuchy ziemniaczane okraszone skwarkami. Najadłem się. Idę do przytuliska prowadzonego przez księży. Pytam czy jest gdzieś Całonocna Adoracja. Jest. Mówią mi gdzie. Mówią jak trafić. I trafiłem. I to jest mój pomysł na noc sylwestrową. Modlę się za Młodość, żeby pozostał młody. Modlę się za małego Stefanka, aby operacja się udała. Modlę się za syna Maćka. Modlę się. Całą noc. Odgłosy fajerwerków. Nie wiem. Nie słyszałem. Pewnie były, ale pogrążony w modlitwie człowiek niewiele słyszy. Płynie. Tonie w skupieniu. Tonie w milczeniu i uwielbieniu.

### 1 STYCZNIA

Nad ranem człowiek dostaje zastrzyk siły i mocy. Zapomina o tym, że nie przespał całej nocy. Czuje się wypoczęty. Gotowy do działania. Trzeci dzień mojej pielgrzymki. Zaczynam od ofiary. Oddaję na Kościół to co mam. To co mi zostało. Jeśli będę potrzebował, pójdę na kubek. Póki co nie potrzebuję. Wychodzę z kościoła i idę do tego wielkiego. Białego. Z cudownym obrazem. Już powinien być otwarty. Już powinna być poranna Msza Święta. Niedługo.

Zdążyłem. Msza. Wspaniała. Każda kolejna sprawa mi większą radość. Kazanie. O pojednaniu z Bogiem. O jedności. O tym, że to nie ludzie mają stanowić jedność. Tylko człowiek z Bogiem. Mają być jednym duchem. Mamy żyć. A prawdziwe życie to życie w Bogu. Nie ma innego. Inne jest podróbką życia. Imitacją. Nie wartą czasu, który jest nam dany. Nie wartą wschodu słońca. Warto przyjąć Komunię Świętą. Powtarzam „a będzie uzdrowiona dusza moja” i korzystam z oferty. Zawierzam się Bogu. Wybieram życie.

Po Mszy idę na śniadanie do jadłodajni dla bezdomnych. Jajecznica. Zjadam i proszę o dokładkę. Jeśli jest. Jeśli starczy. Dostałem. Mam dziś apetyt. Bez dwóch zdań. Po jedzeniu pytam księdza, czy nie potrzebują pomocy. Mówię, że chętnie pomogę przy myciu talerzy, wycieraniu, czy zamiataniu sali. Co trzeba. Ucieszył się. Mówi, że za Bóg Zapłać. Odpowiadam, że za Bóg Zapłać wszystko zrobię. Dostało mi się mycie. To myję. I umyłem. W jadłodajni pracują też wolontariusze. Młodzi ludzie, co nie boją się ciężkiej pracy. Co chcą pomagać. Dawać i brać. Tańczyć a nie stać. Zasługują na brawa. Nikt nie klaszcze. Poza aniołami. Ale Ci to zawsze mają ubaw. To z tego, to z tamtego.

Wychodzę. Idę starym miastem. Zaczepia mnie człowiek, który szuka swego psa. Pies uciekł dziś rano i nie ma po nim śladu w okolicy. Czy widział Pan psa, husky. Z jednym okiem niebieskim a drugim brązowym, zapytał nieznajomy. Niestety nie, odpowiedziałem. Idę do Kościoła. Stary. Z cegieł. Modlę się. Nie o długie życie. Nie o szczęście. Nie o pieniądze, czy dach nad głową. Modlę się o życie wieczne. Dla duszy.

Wychodzę i idę w kierunku dworca. Trzeba trochę popracować. Usiądę na kubku. Ale zanim wybrałem miejsce, zaczepił mnie człowiek który chciał ze mną porozmawiać o Bogu. Człowiek, który chciał mnie przekonać do zmiany wiary. Mówi, że zna tajemnice. Że jego odłam ma wyłączność na niebo. Inni się myślą. Od dwóch tysięcy lat. Ja na to, że nie będą mieli ze mnie pożytku. Że bezdomny na nic się im nie przyda. W tym ich niebie oświeconych. W tym ich rajy dla wybranych. On na to, że w ich rajy nie będzie domów. Wszyscy będą bezdomni. A ja na to, że nie piszę się na to. Dość mam bezdomności. Wracam do Domu Ojca. Wracam tam gdzie moje miejsce. Z dala od bezdomności. Spuścił głowę i odszedł.

Usiadłem na chodniku. Ja i mój kubek. Dzielny kompan. Bóg się nam przyglądał. Słyszałem jak przechodził. Myślał, że nie zauważę. Ludzie wrzucają. Czasami. Drobniaka. Tak mija godzina. Jedna, potem druga. Nagle czuje, że coś się dzieje. Coś jest nie tak. Wyjmuję zeszyt i spisuje. Opisuję ten dzień. Mówię co mam do powiedzenia. Opisuję co było i co jest. To co dotychczas. To było. To co teraz. To jest. Ból w klatce piersiowej. Trwa i trwa. Dobre dwadzieścia minut. Coraz gorszy. Coraz mocniejszy. Szybki oddech. I najgorsze. Niepokój. Nie do opisania. Wiem. Już wiem. Że umieram. Ciało mówi dość. Ciało mówi wystarczy. Dane mi było zobaczyć nowy rok, ale nie dane mi będzie go przeżyć. Patrzę na tęczę. Tęcza w zimie. To nie jest częste zjawisko. Ale myślę, że zwiastuje coś dobrego. Myślę, że niebo się cieszy. Nie ma innego wyjścia. Nadchodzę. Bądź wola Twoja!

Co dalej? A jakie to ma znaczenie? Jest Bóg. Jest życie.

Bezdomny nie jest już bezdomny. Ma dom. Dom Ojca.

Ma słońce. W sercu. Które nigdy już nie zajdzie. Żyje.





## Spis obrazów:

*Zdjęcie ze strony tytułowej:* Marcin z Frysztaka, Przywitanie  
*Wiersz ze wstępu.* Marcin z Frysztaka, Domowe ognisko

*Obraz końcowy:* Marcin z Frysztaka, ...



**Marcin z Frysztaka**

ur. 2 grudnia 1986 – obecnie

Marcin z Frysztaka oprowadza pielgrzymów po Niebie. Tylko od Ciebie zależy, czy zagościsz tam na stałe. Autor 14-częściowego cyklu „Powrót do źródła”. Jego książki można przeczytać za darmo w internecie. Są dostępne na stronie: [wilusz.org](http://wilusz.org)

Marcin napisał m.in. książkę „Poznać Jezusa to poznać miłość”, wiersze „350 uniesień duszy”, oraz cztery opowiadania. Pierwsze z nich to: „Krok za krokiem”. Cykl kończy opowiadanie „Więzienna cela w sercu słów złodzieja”. Marcin jest także autorem licznych obrazów i grafik.

Kontakt z Marcinem z Frysztaka:  
szulif@gmail.com

Szanowny Wydawco,

Jeśli masz chęć wydać „Bez domu” w wersji papierowej – drukuj śmiało!

Jako autor zachęcam do powielania, kopiowania i wydawania „Bez domu” na wszystkie możliwe sposoby. Proszę tylko o zachowanie zgodności z oryginałem.

„Bez domu” każdy może wydrukować i rozpowszechnić – dzieląc się wolnością.

Nie oczekuje wynagrodzenia, czy procentów od sprzedanych egzemplarzy. Będę się cieszył jeśli część zysków, które uzyskasz ze sprzedaży „Bez domu”, przekażesz na cele charytatywne.

Nie potrzebujesz dodatkowych zgód, pozwoleń, czy umów.

Chcesz wydać „Bez domu”? To do dzieła!



Przyjaciele,

Niezwykle istotnym jest, aby „Bez domu” było w całości dostępne za darmo w internecie. Kopiujcie je z jednego serwisu z ebookami na kolejne. Ułatwiajcie dostęp do „Bez domu”. Udostępniajcie je bez pobierania opłat. Niech zyska nowe, elektroniczne życie. Niech karmi otwarte umysły tych, którzy porzucili papierowe wydania na rzecz cyfrowego świata.

